Nr. 9. Poznań, Niedziela 27go Maja 1894 r. Rok I

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

POLITYKA.

Dwa obozy.

Gdy na arenie wyborów Kujawskich wystąpiło do walki w zwartych kolumnach stronnictwo ludowe i nie odniósłszy zdecydowanego zwycięstwa, skłoniło jednak przeciwników liczebną potęgą swoją i groźną postawą do ustępstw poważnych, pojawiło się powtórnie w szerokich kołach społeczeństwa pytanie: Czego żądają malkontenci zorganizowani i tak silnie, rosnący w siły z dnia na dzień i stający do walki z zuchwałym fanatyzmem? Kwestyi powyższej nie podobna wyświetlić wszechstronnie w krótkim artykule dziennikarskim, a jeżeli mimo to kusimy się o odpowiedź, to z tem zastrzeżeniem, że zamierzamy na razie szkicowo tylko poruszyć tak żywotną a palącą sprawę.

Trudność krytycznego rozpatrywania postulatów młodego stronnictwa polega przedewszystkiem na tem, że przywódzcy jego nie postawili dotychczas jasno sformułowanego, społeczno-politycznego programu, bo próby, które się w tym kierunku na wiecach ludowych pojawiły, zawierały mnóstwo na efekt chwilowy obliczonych ogólników, ale programu w rzeczywistem tego słowa znaczeniu nie rozwinęły. Jeżeli jednak wiecowe przemówienia p. dr. Szymańskiego zestawimy z poglądowemi artykułami „Orędownika“ i „Postępu“, jeżeli dalej wnikniemy w charakter taktyki bojowej opozycyjnego stronnictwa, jeżeli wreszcie dokonamy analizy uczuć rozbudzonych w masach szerokich, to z poza mglistych przesłonek wyłonią się pewne jaśniejsze pragnienia połeczno-politycznej natury.

Przedewszystkiem czujemy się zniewoleni oświadczyć, że ulubione porównanie stosunku galicyjskich „Stańczyków i warchołów“ z poznańskiem stronnictwem dworskiem i ludowem nie jest en bloc prawdziwem, choć tu i tam z łatwością uchwycić można rysy pokrewne. Stronnictwo ludowe zaboru pruskiego nie wstępuje na arenę polityczną z namiętnym patryotyzmem opozycyjnym liberalnego obozu w Galicyi. Główny jego organ przeciwnie wyżłobił niejako koryto tej polityki, którą dzisiaj przyjęło Koło polskie w parlamencie niemieckim; w owych latach niedawnych, gdy ojczystą nawą sterowała dłoń Niegolewskiego i posłowie polscy stali niezłomnie na fundamencie protestu, pierwszy „Orędownik“ zatrąbił do odwrotu i, pracując sumiennie nad uświadomieniem warstw średnich, równocześnie sztandar lojalizmu wywiesił, jednając sobie w kołach ówczesnych „patryotów“ przydomek „czarnobiałego“. Barwa „Orędownikowego“ obozu, z którego wyrosło stronnictwo ludowe, nie uległa zmianie, a stanowisko czasopisma tego wobec narodowych manifestacyj najlepiej charakteryzuje różnicę między galicyjskim „warchołem“ a poznańskim ludowcem. Żołnierz ludowego obozu urodził się lojalistą, protestował już w kolebce przeciw „Polsce od morza do morza“ i drwił z polityki uczuć, którą „szlachetczyzną“ mianował. Stańczyk galicyjski ujrzał światło dzienne w pracowni uczonego i w magnackich dworach, lojalizm poznański natomiast wyłonił się z obozu demokratycznego i stanął pierwotnie w przeciwieństwie do szlachty „protestującej“.

W obecnej dobie, gdy Koło polskie w Berlinie zawinęło do portu ugodowej polityki i znalazło na nowej drodze żywota swojego fanatyczne poparcie w szeregach ziemiaństwa i duchowieństwa naszego, występuje stronnictwo ludowe z „Orędownikiem“ na czele powtórnie do walki. Tym razem jednak nie stanęły przeciw sobie lojalizm i niegolewszczyzna, lecz lojalista lojaliście rzucił rękawicę. Różnice polityczne zatem nie wypływają tu z dwóch diametralnie przeciwnych zasad, lecz dotyczą przedewszystkiem taktyki parlamentarnej, formy i stopnia lojalności.

Gdy Koło polskie gmach polityki ugodowej budować poczęło wyłącznie na sympatyach cesarskich i w tym kierunku wytężyło wszystkie usiłowania swoje, tracąc do szczętu równowagę i zamieniając się w fanatycznego zelotę tronu, — gdy energia żądań politycznych przekształciła się w pokorę prośby nieśmiałej, — gdy zaślepieni bezwzględną wiarą w problematyczną wszechmoc tronową posłowie rzucali rządowi z dworską kurtuazyą dusery i prezenty na marynarkę i wojsko, gdy mimo dotkliwych urągań konserwatywnych, wolnomyślnych a nawet katolickich stronnictw, Koło zahypnotyzowane cesarskim uśmiechem, kraj i siebie łudziło nadzieją lepszego jutra, wtedy trzeźwiejszy lojalizm ludowego stronnictwa zwrócił się przeciw sternikom polityki naszej. Lojalizm i dworskość stanęły przeciw sobie do zaciętej walki, a jak niegdyś w obozie demokratycznym zabrzmiało hasło: Precz z Niegolewszczyzną! tak dziś „nom de guerre“ opozycyonistów naszych jest okrzyk: Precz z Kościelszczyzną!

Naturalnym rzeczy porządkiem dyplomacya spekulująca na osobiste względy cesarskie, nie przyniosła wprawdzie dla narodu żadnych ulg politycznych, lecz zlała na jednostki łaski tronowe w postaci prezentów, wyróżnień towarzyskich, orderów i urzędów, a takie owoce dyplomacyi naszej musiały zaostrzyć jeszcze przeciwieństwa stronnictw. Tłum głodnych i wydziedziczonych napróżno wyczekiwał manny i rosy ożywczej z Berlina, a widząc cukierki, któremi karmiono wybranych jedynie, zawrzał gniewem i nienawiścią. Z drugiej strony rozpanoszyła się, jako konsekwencya nowej polityki, przykra obłuda w społeczeństwie poznańskiem. Ambicyjki i rachuby osobiste wystąpiły pod płaszczem przekonań politycznych i ludzie wzdychający za orderem, tytułem lub urzędem, rozpoczęli wstrętną komedyę zelotyzmu dworskiego. Możnowładzcy duchowni i świeccy, obdarzeni sympatyami tronu, ujrzeli u stóp swoich tłumy rozdeklamowane i toastujące na cześć berlińskich ugodowców, a nie piastujące w sercach nic innego krom osobistych interesów. Ten demoralizujący wpływ polityki dworskiej spotęgował różnice dzielące dwa wrogie obozy i coraz głośniej brzmiał okrzyk ludowego stronnictwa: My albo wy! Popalone mosty! Zawrzała walka po obu stronach z taką nienawiścią, że legalność środków stała się pustym frazesem. Rzucano słowami: „prawo, ustawy, solidarność“ ale w istocie rzeczy drwiono sobie w jednym i drugim obozie z wszelkich dotychczasowych prawideł naszego życia politycznego. Stronnictwo ludowe zdeptało kilkakrotnie z niesłychanym cynizmem wolę większości, a stronnictwo dworskie groziło dyskretnem rozbiciem solidarności narodowej w razie zwycięztwa przeciwników, chociaż niedawno jeszcze proklamowało nietykalność tej solidarności. Powagę Komitetów apoteozowano wtedy jedynie, gdy tendencye ich odpowiadały interesom partyi, a nie wahano się natychmiast panegiryk w satyrę zamienić, gdy komitet objawił odmienny kierunek polityczny. Skarżono się na bojkot, na brak parlamentaryzmu w polemice, na nieuczciwe insynuacye, ale za chwilę stosowano bez ceremonii potępione u innych zasady.

Rozkiełznania instynktów stronniczych nie dokonały jednak wyłącznie polityczne czynniki. Społeczeństwo nasze laborowało od wieków na brak inteligentnego stanu średniego, a hegemonia spoczywała prawem tradycyi i wyższości umysłowej w rękach ziemiaństwa. Jednostki inteligentne z ludu nie znajdowały oparcia wśród rodzonych braci, pogrążonych w egipskich ciemnościach i, naturalnym porządkiem rzeczy, ciążyły w kierunku obywatelstwa wiejskiego przyswajając sobie jego pojęcia, zwyczaje i formy. Inteligencya i szlachta były do niedawna jeszcze identycznemi pojęciami. Dziś sytuacya zmieniła się zupełnie. Inteligentny stan średni rozwija się z dniem każdym pomyślniej, wypełniając opróżnione przez upadających ziemian miejsce, społeczeństwo demokratyzuje

się wolno ale stale i wątpić już obecnie nie można, że stosunki społeczne i towarzyskie ulegną w najbliższym czasie radykalnemu przewrotowi. W miarę rozwoju stanu średniego i rozrostu nieszlacheckiej inteligencyi z jednej strony, a dekadencyi obywatelstwa wiejskiego z drugiej, pojawiły się oczywiście wśród mieszczaństwa hegemoniczne aspiracye, a wobec oporu ziemian, którzy w duszy uważają się zawsze za urodzonych „Ojców narodu“, zjawia się niechęć coraz jaskrawsza, a z niechęci wyłania się otwarta walka. „Naprzód kanapę! rozsiądźmy się sami!“ zawołał niedawno z brutalną otwartością „Orędownik“, a okrzyk ten charakteryzuje dosadnio ten ferment społeczny, który przejawia się w zapasach stronnictw poznańskich.

Kto z zapaśników wyjdzie zwycięzko, o tem nikt chyba dzisiaj wątpić już nie może. Żal nam serdecznie tych starych żołnierzy, którym patryotyzmu odmówić nikt nie ma prawa, a których poświęcenie dla dobra publicznego zawstydza poniekąd demokracyę naszą; dziś jednak stracili oni już, na mocy wewnętrznego rozkładu, prawo wyłącznej lub wybitniejszej hegemonii i prędzej czy później z samowładztwa steru zrzygnować muszą. Na arenę wstępuje zwycięzki hufiec nowych szermierzy, a my witamy go serdeczną przestrogą, aby Brennusowe „Vae victis“ ust mu nie splamiło, a ręka sięgająca po ster narodu strzegła nas w zamęcie wojennym przed kataklizmami, które ojczyźnie szkodę, a wrogom korzyść zgotować mogą. —*s'i*.

Przegląd prasy słowiańskiej:

Dziennik zagrzebski „Hrvatska“ organ t. z. „stronnictwa prawa“ pisze:

„W ostatnich czasach nasza młodzież akademicka dała kilka dowodów politycznej samodzielności oraz taktu politycznego.

Kiedy zeszłej zimy rektor uniwersytetu zagrzebskiego dr. Pliverić przeszedł do obozu „madziaronów“, demonstrowała młodzież akademicka przeciw niemu w dzień instalacyi nowego rektora. Gdy rektor Pliverić składał w dłuższem przemówieniu urząd, opuścili wszyscy studenci aulę i wrócili wtenczas, gdy nowy rektor, który należy do opozycyi narodowej, objął urzędowanie. Kiedy niedawno temu rząd bez wszelkiego powodu kazał pensyonować znakomitego uczonego i dzielnego nauczyciela dr Brzeseńskiego, z tej tylko racyi, że oświadczył publicznie, iż polityki rządu nie pochwala, zaprotestowali przeciw temu wszyscy chorwaccy studenci, znajdujący się w uniwersytetach w Zagrzebiu, Wiedniu, w styryjskim Hradcu, Pradze i Insbruku. Równocześnie zaprotestowali przeciw obniżaniu naukowej wartości uniwersytetów, samowolnem mianowaniem profesorów, którzy na urzędy dostatecznej nie mają kwalifikacyi.

„Gdy się odbywał pogrzeb Koszuta w Peszcie, chcieli niektórzy patryoci chorwaccy urządzić w Zagrzebiu antykossutowską demonstracyę projektowanem uwieńczeniem pomnika Jelaczica bana w tej właśnie chwili, gdy Kossuta, największego wroga Chorwatów, spuszczano do krypty. Przeciw tej uroczystości atoli zaprotestowała młodzież chorwacka, twierdząc, że nie byłoby to godnem ze strony Chorwatów, gdyby nie respektowali uczuć patryotycznych Madziarów, którzy w Koszucie widzą męczennika swojego narodu.

„W tych dniach dała młodzież chorwacka nowy dowód swej politycznej dojrzałości. Z powodu narad, jak się mają nowe złączone stronnictwa opozycyjne chorwackie nazwać, napisały dzienniki madziarofilskie, że studenci chorwaccy nie przyznają się do żadnego stronnictwa, że stoją ponad stronnictwami. Aby przeciw temu twierdzeniu zaprotestować zebrali się studenci zagrzebscy w pierwszych dniach maja w pewnym lokalu na wiedeńskiem Nowem Mieście i tam oświadczyli, że należą do stronnicta prawa, któremu przewodzi Starczewic i dr. Frank. Po zebraniu udali się przed redakcyę rządowych „Narodnich Novin“, gdzie zawołali: pereat! Wieczorem zaś odbył się w sali na miejskiej strzelnicy komers, na którym byli dr. Frank, Kumieric i Folnegovic.

„Z mów, które studenci wygłaszali, wychodziło dowodnie na jaw, że młodzież chorwacka stoi po stronie partyi prawa, pod sztandarem którego chce zgodnie pracować dla zjednoczonej Chorwacyi.

„Wśród młodzieży chorwackiej jest tak nieznaczny procent stronnictwa Strosmejerowskiego, że można śmiało twierdzić, iż cała przyszła inteligencya chorwacka odwróci się od „obzora“ i ludzi za nim stojących.

* * *

Dziennik białogrodzki „Dnewni List“, propagujący ideę Wielkiej Serbii, pisze o ustępstwach ze strony Porty na rzecz Bułgarów macedońskich, co następuje:

„Dzienniki europejskie są dotąd w niepewności któremu to mocarstwu zawdzięcza Stambułow poparcie u Porty, że mianowano dwóch nowych biskupów bułgarskich i uczyniono zadość żądaniom bułgarskim co do szkolnictwa w Macedonii. W Carogrodzie nie zwyciężył w powyższym wypadku ani wpływ trójprzymierza, ani państw jemu nieprzyjaznych, ani też w ogóle żadne mocarstwo. Jest tak, że Porta sama wygrała. Gdzie? W Sofii.

„Objaśnimy rzecz w kilku słowach. W Turcyi nie było nigdy kwestyi językowej. Aż do czasów ostatniej wojny mogły parafie chrześcijańskie utrzymywać w Turcyi własne szkoły według upodobania i potrzeby. W razach takich tylko ta nasuwała się trudność, że tu lub owdzie trzeba było dygnitarzowi tureckiemu dać jakąś łapówkę. Nawet państwa zagraniczne mogły były szkoły zakładać. Po wojnie tureckiej rząd spostrzegł, że nowożytne szkolnictwo europejskie ma zadanie nietylko szerzenia oświaty i nauki, ale robi przy tem propagandę polityczną. Od tej pory rząd turecki baczy pilniej na szkoły i jest przychylniejszym dla poddanych tej narodowości, których uważa za „lepszych rajów.““

„Nie ma wątpliwości, że ustępstwa mniemane dla Bułgarów są zręcznem posunięciem na szachownicy europejskiej, którego rezultat pożądanym jest Turcyi. Bułgarzy w Turcyi służą najwierniej rządowi, są więc lepszymi rajami aniżeli Serbowie, Grecy, lub t. z. Kucowłochy. Rząd turecki popierając Bułgarów, dopomaga sobie, a czyniąc coś na niekorzyść innych narodowości, widzi w tem zmniejszenie niebezpieczeństwa, grożącego im ze strony tych poddanych, którzy jarzmo tureckie znoszą z niecierpliwością.

„Rzecz tę przejrzał już Francuz Bérard, który w książce swej o półwyspie bałkańskim przytoczył słowa pewnego Greka: „„Chcesz mieć spokój w Macedonii bądź Bułgarem, chcesz wygrać proces, bądź Bułgarem, chcesz sąsiadowi zająć pole, bądź Bułgarem, zawsze Bułgarem““.

„A z tego wynika, że Turcy starają się wszelkimi sposobami przyciągnąć do siebie Bułgarów, że ustępstwa i dary, jakie w Macedonii uczynili, są ustępstwami dla Turcyi.“

* * *

Rosyjski dziennik „Swiet“ poświęca stosunkom rusińskim w Galicyi następujące uwagi:

„Nieprzyjazne Rusinom usiłowania, podjęte przez Polaków i oddanych im duszą i ciałem „narodowców“ w rodzaju Wachnianinów i Barwińskich, oraz przez tak zwanych nowoeryków zostały bez wszelkich szkodliwych następstw. W Galicyi czynią się obecnie przygotowania, zmierzające do zjednoczenia ruskich stronnictw politycznych. Rusini byli dotąd rozbici na trzy stronnictwa, wzajemnie się zwalczające: na staroruskie; czyli ukrainofilskie, separatystów i na młodych liberałów-socyalistów. Zjednoczenie Rusinów przyniesie dobre owoce nietylko dla Galicyi samej, ale i dla całej rzeszy habsburskiej i nie pozostanie bez

---

3)

Dr. PIOTR.

NOWELLA,

przez

Stefana Żeromskiego.

(Ciąg dalszy.)

Twarz starego szlachcica nie zdradzała nigdy ani śladu gniewu, ani cienia obrazy, ani pozoru zdziwienia. Czasami tylko po zaciętych jego wargach przemykał się tęskny, dziecięcy niemal uśmiech, czasami wypłowiałe oczy zachodziły mgłą jeszcze bardziej i zdawały się nic nie widzieć. Nigdy wszakże żrące go upokorzenie nie wynurzało się na zewnątrz w dźwięku mowy, lub treści słów.

— To także honor, to punkt honoru — myślał. — Ja i tak pan, a tyś cham...

Miał ten człowiek jedną tylko pociechę i nadzieję. Skoro nadchodził wieczór, gdy robotnicy, zlani do suchej nitki potem, rzucali łopaty i, zjadłszy strawę, padali w sen kamienny, gdy panowie inżynierowie zasiadali do winta — Cedryna szedł wzdłuż plantu do sąsiedniego miasteczka. Głowa jego podnosiła się wtedy dumnie, oczy nabierały blasku, usta szeptały: Piotruś... ach Piotruś.

Pukał do okna poczmistrza i ugrzecznionym, bojaźliwym głosem pytał, czy niema listu do Dominika Cedryny. Jeżeli ten list upragniony otrzymał, oddalał się szybko, pieszcząc kopertę palcami i przytulając ją do warg. Potem w swej nędznej izdebce stawiał świecę przy łóżku i zaczynał czytać. Czytał powoli, w sposób dziwaczny: nie przebiegał oczyma od razu całego listu, lecz wykradał jedno, dwa zdania, kilka słów i składał pismo. Czasami koniec listu odczytywał dopiero trzeciego dnia po otrzymaniu. Gdy mu dokuczono, gdy go obrażano, gdy czuł, że mu klatkę piersiową coś gnieść zaczyna, niby obręcz żelazna i krew uderza do głowy, macał boczną kieszeń surduta, gdzie nosił paczkę listów od syna, i odzyskiwał spokój. W każdej chwili wytchnienia, podczas obiadu, czy chwilowej przerwy w robocie, wydobywał arkusik i wmyślał się w jakieś zwyczajne zdanie. Wtedy uśmiech łagodny, jak promyk słońca wypogadzał jego twarz drewnianą i skrzepłą na niej troskę.

W odległości wiorsty od dźwigającego się nasypu, stanowiącego część dystansu pana Teodora, sterczało pośród pól wyrosłe wzgórze, porośnięte jałowcem i uwieńczone szarym zębatym grzbietem skał wapiennych. Góra należała do folwarku Zapłocie, a folwark do niejakiego pana Juliusza Polichnowicza. Inżynier zwrócił uwagę na owo wzgórze zaraz po rozpoczęciu robót, zbadał skały, znalazł w nich obfitość węglanu wapna i niewielką ilość obcych przymieszek, dostrzegł, że zbocza i osypiska wykazują piękne pokłady wyborowej gliny, to też w kilka dni po przyjeździe zabrał ze sobą pana Cedrynę i pojechał do folwarku Polichnowicza. Zmierzch zapadał, kiedy furmanka zbliżała się do Zapłocia. Folwark stał u samego podnóża góry. Zabudowania otaczał szeroki czworobok usychających topoli. Budynki były w stanie opłakanym: waliła się w gruzy stara gorzelnia i wyciągała ku niebu obdarte z poszycia krokwie, jak kościotrupie piszczele, nachylały się ku ziemi dachy stodół: tu i owdzie sterczały żerdzie rozwalonych płotów. Kamienista i urozmaicona zatrważającemi wyrwami droga mijała pewien rodzaj bramy i prowadziła przed dwór. Ogromny, czarny dach tego domostwa zjeżdżał ze ścian w tył i jednym swoim krańcem dosięgał prawie ziemi.

Kiedy wasąg naszych przedsiębiorców zatrzymał się przed gankiem, w dwu oknach błyszczało światło. Jakaś figura zjawiła się we drzwiach.

— Czy to ty, Szulim? — zapytał głośno stojący na progu.

— Nie, to nie Szulim — odpowiedział Bijakowski.

wpływu dodatniego na słowiańską politykę Austryi. Jak tylko Rusini wejdą ostatecznie na drogę iście narodowej polityki, spotkają się po przyjacielsku ze wszystkimi czynnikami iście słowiańskimi w Austryi i wspierać będą swoimi głosami tę koalicyę słowiańską w parlamencie, na której czele stoją Czesi.

„Skutkiem tego będzie — wzmocnienie żywiołu słowiańskiego Cislitawii, co — prędzej czy później doprowadzić musi do osłabienia Madziarów w Translitawii, ponieważ Rumuni, Chorwaci, Serbowie, Słowacy i Rusini węgierscy złączą także swoje siły dla zrzucenia jarzma madziarskiego.“

„Galicyjski namiestnik, hr. B a d e n i, niedawno oświadczył, że w rządach swych w Galicyi dokaże tego, iż można obejść się zupełnie bez współudziału Rusinów. Tego atoli zapewne nie powiedzą ci polscy politycy galicyjscy, którzy niedawno zadawali sobie tyle pracy, aby galicyjskich Rusinów odwieść od zamiaru złączenia się z Czechami i z innymi Słowianami. Do trzebienia lasów galicyjskich trzeba nietylko siekiery, ale i toporka. A co się stanie, jeżeli Rusinom w Galicyi odechce się raz być toporkiem, którym Polacy uderzają w ich własny naród i współplemieńców słowiańskich?“

LITERATURA I SZTUKA.

Rodzinnej ziemi.

I na cię słońce swoje blaski zlało —
I kiedy wzniosą wśród powietrznej toni
Wiatry swe skrzydła z lotnego kryształu,
Twych ciemnych sosen las swe głowy kłoni,
Głęboką pieśnią szumi na około —
Bujne się kłosy na twych niwach plenią
I jasne kwiaty zdobią twoje czoło
Rodzinna ziemio!

A gdy wieczorna nachyli się pora,
Gasząca blaski, i nad lasu drzewa
Księżyc wypłynie, by w fali jeziora
Twarz kąpać jasną, a słowik mu śpiewa
Do snu wśród fali tęskne kołysanki
I czarne olchy zasłuchane drzemią,
O! piękną jesteś jak lica kochanki
Rodzinna ziemio!

A jednak — martwą patrząc w przeszłość twarzą,
Nadzieje wielkie w mgły spowiłaś senne
I nie chcesz słuchać pieśni, co ci gwarzą,
Że w przepaść wiodą drogi twoje ciemne.
Czemu odtrącasz ducha jasne kwiaty,
Co się przyszłości talizmanem mienią,
Gdy żywisz lilje, dzwonki i bławaty,
Rodzinna ziemio!

Na twoją krasę patrzę drżący cały
I pośród twoich łąk, nizin i borów
Stoję, przyszłości widmem skamieniały,
Nie jako syn twój, ale jak upiorów
Mrocznego wojska blady szeregowiec,
Którego usta straszne czary niemią.
Czemu odtrącasz syny twoje, powiedz,
Rodzinna ziemio!

I kiedy widzę, jako ziarna twoje
Na marne idą wśród ducha posuchy —
Tak meteorów zabłąkanych roje
W powietrzu gubią krótkotrwałe ruchy,
Gdy ich połyski nocna ciemność dławi, —
Więdnie me serce jak liście jesienią
I dusza moja nad tobą się krwawi
Rodzinna ziemio!

Patrzę na ciebie i łzami spłakany
I tym, co serce szarpie, bólem wściekły,
Dłoń zimną składam w twej przeszłości rany,
Co z swej posoki jeszcze nie ociekły.
O! nie przeklinaj, że leczące noże
Rany zatrute w jędrne ciało zmienią —
Za bolu żmije syn twój nic nie może,
Rodzinna ziemio!

St.

„NAJMŁODSI“.

III.

(Dokończenie.)

Z tętnem barwnego życia ustaje rozumienie innych, z niem znowu wygórowanie swojego „ja“. I gdybyśmy psotną ręką rozrzucili mrowisko na wszystkie strony i stargali na zawsze tę nić solidarności, jaka łączy mrówkę z mrówką, naówczas biedne stworzenia skarżyłyby się podobnie i utyskiwały taką samą podmiotową liryką, wyznawały taki sam filozoficzny pesymizm i może przy wzajemnem spotkaniu tak samo pozowałyby i gryzły się żądłem docinku. Jasną zatem jest rzeczą, jakie losy przy dalszym rozwoju w tym kierunku oczekują powieść. Autor może dać to tylko, co posiada w swem wnętrzu: spowiedź; w ostateczności zaś pokaże nam w kalejdoskopie nie realnych ludzi, lecz galeryę karykatur dwunożnych i przy każdym obrazie będzie niejako mówił: jacy oni nikczemni, podli, plugawi... Do powieści wkroczy pogoń za oklaskami, dowcip, styl, lecz serce z niej ucieknie — s a n f t e R e d e n, E m b r a s s i e r e n: o c h! w e n n s i e n u r H e r z e n h ä t t e n! I nawet jeśli owo serce zadrga silniej, nie starga przeklętych pęt, da nam obrazek rzewny, ale w tej samej nieudolnej formie, w tem samem zatarciu charakterów ludzkich. Owe hymny, wyśpiewane przez kogoś ku chwale własnej nieumiejętności, a przez nas przytoczone, są właśnie wytworem tego zacieśnionego widnokręgu. Życie mści się na wyzutym z solidarnego związku atomie. Samotność wywołuje analizę, szablonowość każe marzyć o straconej indywidualności. Albowiem, jak chory, dopiero wtedy poczyna myśleć o zdrowiu, kiedy ono już ucieka, podobnie ci, którzy utracili już indywidualność, drapują się w jej szaty, istotna zaś, a potężna indywidualność nie wie o sobie, żyje, działa, ale nie deklamuje.

Tak, najcharakterystyczniejszą formą dzisiejszej chwili jest przewaga pierwiastku podmiotowego, jęki obumierającej indywidualności, jakiś smutek i rozpacz, niemoc i zgryzota. A opowieść owa, tak grzebiąca się w własnej „jaźni“ i tak nieumiejętnie malująca zewnętrzne dekoracye, jest jeszcze czemś więcej, aniżeli potokiem słów. Zdawkowy liberalizm rzucał się na spowiedź, która w jego oczach była jedynie wynalazkiem szarlatanów. Zapomniał jednak, z właściwym sobie brakiem zmysłu historycznego, że ów obrządek zjawił się samorodnie i jedynie wtedy, kiedy już istniał, otrzymał sankcyę. Ten jeden fakt, pomijając inne, mianowicie, że spowiedź odnajdujemy u ludów najpierwotniejszych, gdzie nie ma żadnej hierarchii kapłańskiej, już ten goły fakt powinien był dowieść, że wspomniana instytucya odpowiadała i odpowiada jakiejś głębszej potrzebie duszy ludzkiej. Mówią, że niewypłakane łzy najbardziej dławią. To samo godzi się powiedzieć o niewypowiedzianej goryczy — trawi ona wewnątrz i piecze niby rozpalone żelazo. Zawsze i wszędzie istota ludzka szukała wyjścia z tego położenia: w hordzie australskiej dziki, który jeszcze nie zdobył się na pustkę wewnętrzną — jest ona owocem rozatomizowanej społeczności — opowiada swoje błędy przedmiotowo przed zebranymi współplemieńcami; gdzieindziej dokonywa ona tego przed specyalnemi osobami, wreszcie obecnie, o ile jest niezależną, wybucha analizą drukowaną. Ekstaza, wśród której człowiek to czyni: spokój, w jakim się znajdzie z chwilą, kiedy wypowiedział to, co dotyczczas jako mniej lub więcej świadoma gorycz wstrząsała jego jestestwem, posiadają taki urok, że swoją mocą pociągają najodporniejsze i najbardziej w sobie zamknięte dusze. A kiedy myślimy o tej ciżbie atomów społecznych z nieodzowną wewnętrzną analizą, z nadmierną wybujałością „indywidualności“, nie możemy jej sobie wyobrazić bez istnienia pewnej liczby znachorów duchowych, wysłuchujących owej analizy i umiejących tę lub inną ranę wewnętrzną usu

---

— Czy dziedzic jest w domu?

— Któż tam u djabła?

— Czy dziedzic tutejszy jest w domu?

— Dziedzic?

Można się z nim widzieć?

Osoba znikła i jednocześnie prawie światło w oknach zgasło. Wędrowcy nasi wstąpili na ganek, lecz znaleźli drzwi zamknięte. Bijakowski zastukał.

Żadnej odpowiedzi.

— Dziwna rzecz — zauważył pan Dominik.

Inżynier zeszedł z ganku i zajrzał za węgieł dworu, szukając innego wejścia. Musiały tam być jakieś drzwi, biegano bowiem tamtędy, białe postacie wsuwały się do dworu i wymykały do ogrodu, dźwigając jakieś ciężkie przedmioty, coś w rodzaju szaf, luster, kanap, stołów, łóżek, obrazów.

— Nadzwyczajny dom — mówił do siebie zaciekawiony do żywego „bourgeois„ — Ten obywatel wyprowadza się widocznie, czy co u licha?... o tej porze... panie Cedryna.

Pan Dominik pokiwał melancholijnie głową i cicho westchnął.

Z pomiędzy pokrzyw i kęp bzu wysunęła się wreszcie jakaś babina, podeszła do Bijakowskiego i bezczelnie zaglądała w oczy.

— Coście to za jedni, ludzie? Zkądeście?

Jesteśmy z kolei, chcemy rozmówić się z tutejszym panem — mówił do niej p. Cedryna.

— Mamy do pana interes. Chcemy od niego kupić kamień... słyszysz? Jest ten wasz pan, można go widzieć?

— Pana niby? — namyślała się baba.

— Naturalnie, że nie ciebie...

W tej chwili wynurzył się z mroku cień inny.

— Panowie kolejarze... aha... Proszę, bardzo proszę... Maryna, rypaj zapalić lampę. Każ wnosić napowrót. Proszę panów... jestem Polichnowicz.

Drzwi, prowadzące z ganku do sieni otwarły się znowu i przybysze wprowadzeni zostali do obszernego pokoju o bardzo niskiej powale. Stało tam mnóstwo mebli i sprzętów w szczególniejszem ugrupowaniu: komoda wysunięta była na środek pokoju, na niej leżało kilka obrazów w grubych złoconych ramach i lustro, stół zarzucony był stosem rzemieni, uzd, batów, szpicrut, popręgów, torb myśliwskich i przyborami do polowania; roztwarty kufer odsłaniał wnętrze pełne brudnej bielizny i zniszczonej odzieży. Na łóżku, okrytem podartą kołdrą spoczywało olbrzymie psisko z familii dogów, a na wygniecionej kanapie spał maleńki kudłaty piesek. Gospodarz usiłował za pomocą forsowanego wykręcenia knota wydobyć z zakopconej lampki większy płomień. Był to młody człowiek, lat około trzydziestu, nieco przygarbiony, o twarzy wywiędłej i zużytej.

— Siadajcie, panowie, mówił, zrzucając z krzeseł na ziemię porozmiatane części męskiego odzienia i przysuwając kulawe krzesła gościom. — U mnie tu cokolwiek po kawalersku, ale bo to z tymi sekwestratorami... Fintik, won podlec!...

Kudłaty piesek podniósł łeb niechętnie i, machając ogonem, zsunął się na podłogę.

— Proszę pana — zaczął Bijakowski — taki jest nasz interes. Do pana należy góra, w pobliżu której prowadzimy plant kolejowy?

— Góra? „Świńska krzywda“? no do mnie należy, i cóż z tego?

— Pan z niej żadnego zysku nie ciągnie?

— Jakiż ja zysk mogę ciągnąć z takiej góry? Kpisz pan czy co?

— Pastwisko pewno — wtrącił pan Cedryna nieśmiało.

— Jakie pastwisko! — oburzył się Polichnowicz. — Kamień na kamieniu i trochę jałowcu. Miejsce ustępowe dla trznadli chciałeś pan chyba powiedzieć. Ale co panom znowu do tej góry?...

— Fintik, won, podlec!...

Piesek zeskoczył znowu z kanapy, na którą się był wdrapał.

— Krótko mówiąc — ciągnął inżynier — jabym kupił od pana kamień z tej góry i prawo wybierania gliny. Czy zgadza się pan?

— Kamień? A, prawda... Owszem, panie dobrodzieju, z największą przyjemnością.

— I coby też pan żądał?

nąć humanitarnym lekiem dobranego słowa. I gdyby tacy spowiednicy istnieli, nie ulega wątpliwości, że liczba utworów, w których wynurza się analizująca jaźń, byłaby mniejszą. Ażeby się o tem przekonać, nie potrzebujemy daleko wodzić okiem. Parę utworów najmłodszego swojskiego pokolenia nosi aż nadto jaskrawe znamię, że są takim samym aktem spowiedzi przed bezimiennym tłumem czytelników — naturalnie jeśli wśród tej ciżby nie ma z góry upatrzonej osoby, dla której wszystko jest przeznaczone. Jedna rzecz w tem razi, mianowicie, że ten i ów tak łatwo decyduje się wynieść na rynek literacki swoje wewnętrzne cierpienia i szuka w tem nie tyle ulgi dla siebie, ile sławy w małym niekiedy światku współtowarzyszów sabbatu salonowego. A sądzę, że nie tylko spowiedź jest potrzebą dzisiejszego analityka. Świeżo czytałem w wolnym przekładzie ustępy z Juvenalisa. Może poeta-tłómacz zanadto wielkiej dopuścił się swobody w oddawaniu cudzej myśli, bo zdawało mi się, że mam przed sobą utwór chwili nowoczesnej, urągający owej próżni wewnętrznej, tej starczej młodości i bezsilnej żądzy. Jednakie przyczyny działają jednako. W owej epoce starożytnej ukazał się też prąd ku bezimienności, ludziska porzucili rodzinę, stanowisko, imię i uciekli na pustynię. Wprawdzie działały tam jeszcze inne pobudki, ale swoją drogą odraza do życia realnego odegrała niemałą rolę. I znowu nie dziwiłbym się, gdyby idea klasztorów zmartwychwstała w nowożytnej Europie, naturalnie hołdująca zmienionym zasadom. Kryjówki te, na łonie przyrody, stałyby się widownią rozpamiętywania dla jaźni, będących w rozterce wewnętrznej — najdodatniejszych, bo zwykły analityk, acz będzie jęczał nad swojem „ja“, przecież nadal będzie kąpał się w falach flirtu i pozy. Ale są inne, które dla pozbycia się ciężaru niezaspokojonych pragnień, niezniszczonych snów, przygniatającego szablonu, gotowe są z siebie zetrzeć nawet własne imię, z niem zaś przeszłość, ale nie samo życie.

* * *

Tak przedstawia mi się w ogólnym zarysie psychologia najmłodszego pokolenia. Utwór, o ile nie jest dzieckiem nieznajomości życia, a zatem niekiedy fazą przejściową, jest w swej podmiotowej formie spowiedzią, mniej lub więcej szczerą. Pozostaje jeszcze tylko jedno pytanie: co wyjdzie z tego całego zastępu? Nie idzie mi tutaj o pokolenie, stojące po za prowodyrami literackimi, ale o tych ostatnich. Że jest tam niewiele zdrowego ziarna, rzecz to pewna. Ale co do wartości literackiej wkraczającego zastępu, sąd jest już trudniejszy. Spowiedź bowiem jest bardzo nieudatną skalą do mierzenia czyichś zdolności. Każdy bowiem, jeżeli posiada jakiś smak, zdoła wyspowiadać się chociaż raz jeden w życiu zadawalająco. Ale jądro spoczywa w tem, ile z pośród tych spowiadających się jaźni zdoła przejść do skreślenia szerszych związków pomiędzy ludźmi, do przedstawienia wzajemnego splotu odmiennych dusz. Może nigdzie nie bywa tylu powołanych i tak mało wybranych, jak wśród tego znaku szeregowców. Przyznam się, iż osobiście, z pośród tego zastępu najmłodszych, wierzę zupełnie tylko w jednego — w Dąbrowskiego. W *Śmierci* (nie znam jeszcze świeżego utworu) jest kilka figur po za piszącym o sobie pamiętnik, tak dosadnie i niedekoracyjnie skreślonych, iż pozwalają mniemać, że prędzej lub później starga on niewdzięczną, bo monotonną formę podmiotowej opowieści lub w każdym razie powiąże w spójną całość wnętrze bardzo różnych dusz ludzkich. Jeszcze jedna uwaga. Suchotnicy należą do osób bardzo zgryźliwych. Gdybyśmy w kalejdoskopie powieści oglądali twarze zohydzone, niby menażerye małp, byłoby to w porządku rzeczy. A jednak tego tam niema — ów suchotnik z takiem jeszcze ciepłem patrzy na podobnych sobie, nie wykrzywia ust pogardą, ani nie szydzi z zabiegów innych, chociaż sam zrozpaczył. To właśnie ciepło humanitarne utworu wraz z brakiem stylistycznej histeryi i pozy jest źródłem mojej wiary w Dąbrowskiego — naturalnie jeżeli nie porwie go z czasem korowód tandety dziennikarskiej. I rzecz dziwna, krytyka przyjęła go dość po macoszemu, o pomniejszych z pośród „najmłodszego“ zastępu odezwano się niejednokrotnie z większem ciepłem, autorowi zaś *Śmierci* protekcyonalnie kiwnięto głową, ba! nawet raczono podejrzywać go niemal o plagiat z Tołstoja!

K. R. Żywicki.

Polka w ciągu bieżącego stulecia.

IV.

Narcyza Żmichowska.

(Dokończenie.)

Miłość uważała jako jedyną spójnię rodziny, jedyne źródło szczęścia i siły, jedyną gwarancyę doskonalenia się i postępu. Poglądy swoje na tę kwestyę wyrażała często, a choć w późniejszych latach, widząc, że nie każda kobieta zdolną jest do tak wyłącznego, silnego i na tak podniosłych pobudkach opartego uczucia, zredukowała swoje wymagania, nie mniej jednak to, co w młodości za niewzruszoną uważała zasadę, do śmierci nie przestało być dla niej ideałem życia. Żmichowska nie wyszła za mąż, nie wyszła zaś dla tego, że, jak sama wyznaje, „ani przez 24 godzin wzajemną nie kochała miłością“. Gdy namawiano ją do poślubienia niekochanego, lecz kochającego ją człowieka, pisała w liście do brata: „Cóż czynić, małżeństwo bez miłości w przekonaniu mojem nie leży. Gdyby jeszcze osobistość kobieca tak silnie wyrobioną była, żeby jej żadna przypadkowość życia, żaden wpływ odmienić nie mógł, ha! to może dla zapełnienia stanowiska towarzyskiego, dla imienia matki szczególniej, mogłaby kobieta marzenie indywidualnego szczęścia porzucić, złamać — i do obojętnej ręki na wieki ślubnym przykuć się pierścionkiem — ale dziś, kiedy z wychowania nikt żadnych nie bierze zasobów, kiedy dopiero wśród warunków losu kształci się i uzupełnia — dziś mu nie wolno utrudzać swej drogi i obowiązkową przyszłością nierozwinięte, niewydoskonalone jestestwo zakreślać. Przypatrzyłam się wielu kobietom, które najczystszą, najpromienniejszą kanwę swego ducha zadzierżgały w najnikczemniejsze obrazki i zdarzenia. To nie do uwierzenia, jak kobieta w źle dobranem małżeństwie marnuje wszelką ducha swojego potęgę, wszelkie zdolności i wszelki ku lepszemu popęd.“ Ustęp ten przytoczyłam w całości, gdyż świadczy on jasno, jak dalece pogląd Żmichowskiej nowym i śmiałym był w zestawieniu z zapatrywaniami Hofmanowej. Podczas gdy ta ostatnia widziała w kobiecie istotę dla pożytku i przyjemności mężczyzny stworzoną — Gabryella uznaje w niej człowieka, który na równi z mężczyzną ma prawo do osobistego szczęścia i obowiązek doskonalenia osobistego. Gdzieindziej mówi ona jeszcze: „Kochać, to najwyższe szczęście, być kochaną, to jedyna wielkość kobiety;“ — jeśli sobie przypomnimy wyrażenie Hofmanowej, iż „nie wypada“ kobiecie głosić miłość, przyznawać się do niej, jeśli uprzytomnimy sobie, iż ona miłość bez wzajemności hańbą kobiety nazywa podczas gdy Gabryella mówi, iż większem szczęściem niż zyskana jest doznana miłość, — wtedy zdamy sobie sprawę z olbrzymiej różnicy, jaka między jedną, a drugą epoką pojęć kobiecych zachodzi. — Tańska chciała tylko, aby stare panny wobec konieczności godziły się ze swym losem, Żmichowska żąda, aby każda kobieta przekładała życie samotne nad związanie się z człowiekiem, który nie posiada jej serca, nie podziela jej myśli, przekonań i dążeń. — Tańska pragnie dla kobiety takiego wychowania, które uczyniłoby ją uległą, bierną, naginającą się do woli i przekonań męża — Żmichowska kształcić ją chce dla niej samej, dla osiągnięcia wyższego stopnia moralnej

---

Polichnowicz zaczął kręcić w palcach papierosa, założywszy nogę na nogę w taki sposób, że końcem śpiczastego buta dotykał prawie swego nosa, — i milczał. Dopiero gdy załatwił proces umieszczania papierosa w cygarnicy i otoczył się kłębami dymu, wypalił śmiało:

— Odstąpię panu za ośmset rubli.

Bijakowski zaczął się śmiać krzykliwie:

— Siedemset rubli — bagatela! I to za miejsce ustępowe dla trznadli... Cha, cha... wie pan co...

— Nie siedemset, lecz ośmset rubli! Mów pan, co dajesz. Nie lubię, gdy mi się kto w nos śmieje. Fintik! — wyrzucę cię za drzwi, kpie jeden, i tyle u mnie zarobisz...

Piesek znowu zlazł z kanapy. Bijakowski znowu spoważniał.

— Pan sądzisz, że masz z frajerem do czynienia, — mówił młody obywatel, przymrużając lewo oko. Ja, panie, jestem dublańczyk, i wiem, co jest warta taka glinka, zmieszana z pewną ilością piasku, bynajmniej nie tłusta... Znajdź pan tu w okolicy taką glinę i taki kamień.

— Kto wie? — może i znajdę, — powiedział inżynier, wstając i zabierając się do wyjścia.

— No — cóż pan dajesz? — niech słyszę.

— W każdym razie nie więcej nad sto rubli.

Pan Polichnowicz wpadł w głęboką zadumę.

— Dawaj pan na rękę dwieście rubli — i niech tam djabli..

— Nie panie — rzekł zimno Bijakowski

No... to trudno... Dajesz pan sto pięćdziesiąt?

Inżynier śmiał się pod wąsem ironicznie.

Spiszemy kontrakcik — co tam... Może herbaty?...

— A ino, herbaty, — odezwał się niespodziewanie głos z sąsiedniego pokoju. Pan będzie częstował, a ja nie wiem skąd panu wezmę tej herbaty... Widzicie!

— Milczeć, małpo jedna — rzekł Polichnowicz, wcale nie odwracając głowy. Może panowie kwaśnego mleka z kartoflami?...

Nie, dziękujemy. Sto rubelków płacę, piszemy umowę na dwie ręce, — jest świadek pan Cedryna...

— Pan Cedryna! — zawołał młody człowiek, obrzucając gościa ognistem spojrzeniem, — pan Cedryna z Kozikowa?

— Tak, niegdyś...

— Cóż znowu? Już pana wyleli! — Haha... To dopiero pogrom na ziemiaństwo! Koleje pan dobrodziej teraz budujesz?...

— Pracuję, — odpowiedział skromnie pan Dominik.

— Phy... A no, cóż robić... piszmy ten kontrakt. Będzie przynajmniej co wsadzić jutro w zęby panom starozakonnym...

Spisano kontrakt i późno w nocy przedsiębiorcy opuścili folwark. Po upływie kilkunastu dni u podnóża góry funkcyonowała maszyna do wyrabiania cegły, a na skałach roiły się ludzkie postacie. Inżynier zjawiał się na szczycie góry i rozciągający się u stóp jej obszar ciekawym i zamyślonym obejmował okiem. Był to koniec sierpnia, czas órki. Na polach Polichnowicza panował zupełny spokój. Bijakowski nie znał się na gospodarce rolnej, z mozołem odróżniał pszenicę od jęczmienia w kłosie, zastanawiała go wszakże szczególna predylekcya dziedzica Zapłocia do ugorów. Te długie, szare smugi gruntu, pokarbowanego niegdyś przez równe zagony, sprawiały wrażenie, jak cmentarz, smutne. Gdzieniegdzie jednostajną barwę odłogu przerywało pólko ścierniska albo kartofli, — za niemi ukazywał się on znowu i ginął aż w oddali, jednocząc się z nieużytkami i pastwiskiem.

Młody dziedzic przychodził codziennie na górę, siadał na kamieniu, ćmił papierosa za papierosem i gawędził.

— Pański folwark, mówił do niego Bijakowski pewnego razu. — widziany z tej góry podobny jest do trupa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

i umysłowej doskonałości, dla kraju, któremu w miarę sił służyć powinna — małżeństwo zaś, małżeństwo z miłości na ukochaniu wspólnych ideałów opartej, uważa jako środek doskonalenia się wzajemnego, jako zdwojenie sił moralnych do tem skuteczniejszej dla dobra ogólnego pracy. — „Nie rozpromienicie szczęściem dokoła, kto sam w głębi piersi własnego szczęścia nie świeci gwiazdeczką, nie nakarmi — kto sam głodny, nie nauczy — kto sam bezwiedny, nie wesprze — kto sam bezsilny, nie stworzy kto sam umarły. Bez miłości niema rodzin, niema mistrzów, niema bohaterów, niema artystów.“

Tego zbawczego uczucia Gabryela przez całe życie jednak pozbawioną być miała; serce jej wypełniało przywiązanie do sióstr i braci, przyjaźń, a przedewszystkiem gorąca miłość ojczyzny. W 1843 roku odkryto w Warszawie spisek przez emigracyę przygotowany; większość skompromitowanych składali ludzie wspólnością dążeń i osobistą przyjaźnią ze Żmichowską związani. Nastały dla niej chwile smutków i ciężkich przejść. Wraz z przyjaciółkami swemi starała się opiekę nad nieszczęśliwymi więźniami rozciągać, a równocześnie nie pochwalając drogi konspiracyi, chcąc na głębszej podstawie odrodzenie kraju oprzeć, zachęcała towarzyszki do pożytecznej w innym kierunku pracy: „Idzie ni mniej, ni więcej, mówiła, jak o upowszechnienie szkółek i sal ochrony po całym kraju za pośrednictwem kobiet i o wyżebranie stałej składki, a pewnej drogi, którąby aż w głąb Rosyi i Syberyi biednych skazanych wspierać można było. Schodzę nogi, głos w piersiach zużyję, a jeśli i to naprożno, bez grzechu będę mogła przynajmniej założyć ręce i samemu Bogu na sądzie ostatecznym powiedzieć: Tyś tego nie chciał.“

Myśl jej w gronie entuzyastek gorące znalazła poparcie, a choć na razie nie spełniono jej w całej rozciągłości, Gabryela nie porzucała jej do końca życia, ciągle do niej wracając, ciągle działając dla jej urzeczywistnienia. Tymczasem jednak w Europie całej burza rewolucyjna zbierać się zaczynała; wszystkie ludy rwały się do wolności, a szanse zdawały się wyjątkowe, i Gabryela więc, choć stale wierzyła w wyższość pracy podstawowej nad ryzykowne próby, dała się pociągnąć prądowi i czynny w przygotowaniach brała udział. Z narażeniem życia kilkakrotnie przebywała granicę Prus i Austryi, niosąc wiadomości, ostrzeżenia i pomoc. — Wśród tych wycieczek zbliżała się nieraz do ludu i z boleścią przekonywała się o niechęci, jaka między dworem i chatą panuje. Rzeź galicyjska, niefortunny dla kraju naszego rezultat rewolucyjnych ruchów goryczą napełniły serce Żmichowskiej. Nareszcie w 49 r. w czasie, gdy despotyzm Mikołaja szukał pomsty na buntowniczych marzycielach, aresztowaną została i w Lublinie, w gmachu poklasztornym Brygitek, zamkniętą. Listy jej z więzienia do przyjaciółek entuzyastek pisane, tchną takim wzniosłym zapałem, takiem męczeńskiem zaparciem się siebie i ofiarnem oddaniem sprawie, dla której cierpiała z taką rezygnacyą niezachwianą, że żadna Polka bez szczerego wzruszenia odczytać ich nie może. W śledztwie nawet kłamać nie chciała, a nie chcąc znów szczerem wyznaniem kogoś więcej prócz siebie narazić, przysięgła, że na żadne pytania odpowiadać nie będzie. Napisała tylko swoje wyznanie wiary, w którem wymieniła wszystkie krzywdy Polsce przez Rosyę wyrządzone. Takie postępowanie mogło ją zgubić i ona wiedziała o tem — lecz dla siebie nie pragnęła niczego, nawet wolności: „Ja jestem zero, pisała, ale sprawa moja dzisiejsza jest Polska naprzeciw Rosyi stojąca. Jaką chcę, żeby Polska była, taką ja jestem: cierpliwa, miłująca, cicha — a jednak odważna w prawdziwości swojej.“ Nie wierzyła w swoje uwolnienie i z rezygnacyą przyjmowała myśl długiego męczeństwa, a tak mało ceniła własne szczęście, że zawsze gotową była z niego dla drugich zrobić ofiarę. Przez przyjaciółki swoje na wolności zostające pragnęła jednej z uwięzionych entuzyastek podsunąć myśl ratowania się przez wypowiedzenie jakiegoś potępiającego ją samą zeznania; w tym celu wynalazła w swej działalności fakt, który nikogo prócz niej narazić nie mógł. Więzienna samotność wzmagała w niej tem gorętszą miłość ojczyzny, a im więcej cierpiała, tem korniej wielbiła ideę, dla której znosiła cierpienia. Wiersz napisany w tym czasie, „Głos pański w więzieniu“, jest wzniosłym wyrazem jej uczuć:

„Panie! jeżeli zechcesz, daj cięższe więzienie,
Daj mi od ukochanych moich zapomnienie,
Daj potwarz na me imię, w me słowa niewiarę;
Daj, jak młodość bez szczęścia, bez czci lata stare,
Daj Panie! spełnię każdej boleści truciznę,
Tylko wróć mi ojczyznę, Panie! wróć ojczyznę!“

Po przeszło dwuletniem zamknięciu, ze zrujnowanem, zdrowiem opuściła Żmichowska więzienie, a fakt ten niespodziewany obawą pewną, jakby poczuciem tem większej odpowiedzialności ją przejął. — „Panie, modliła się, daj mi tyle sił do życia, ile mi ich do zamierania dałeś, daj mi tak pracować i kochać, jak mi dałeś cierpieć.“ Obawa była poniekąd usprawiedliwioną; pierwsze lata po wydostaniu się na wolność były dla niej cięższą niż więzienie próbą i większem niż zamknięcie w celi osamotnieniem. Rozegzaltowaną przecierpianem męczeństwem raził chłód, obojętność, tchórzostwo otoczenia. Znajdowali się między dawnymi znajomymi tacy, którzy wprost unikali jej, nie chcąc się przez bliższe z osobą skompromitowaną stosunki narazić, lub obawiając się, że z jej ust jakie niebaczne słowo gorętszego patryotyzmu usłyszą. Kółko entuzyastek rozproszyło się, jak ją w Lublinie, inne w innych prowincyonalnych miastach internowano i tylko listownie udzielać sobie mogły wzajemnie otuchy i siły. W kraju, jak zwykle po dniach burzliwych zapanowała martwota i żal ścisnął serce Gabryeli, bo widziała jasno: „że choćby ze trzy razy, jak w 48 roku, Europą zawierucha wstrząsnęła, to nikt nam Polski nie daruje, a wśród nas niema komu na Polskę zasłużyć i zarobić.“ To też pisała dalej w liście do przyjaciółek: „My więc pracujmy, żeby kiedyś przynajmniej w dniu sprawiedliwości Bożej znalazło się choć pięć dusz czystych przed obliczem pańskiem na okup potępionej Sodomy. Zaiste każda z nas pracuje nad tem, o ile może, lub raczej, jeżeli może, mnie się jednak zdaje, że powinnyśmy pracę naszą w tym względzie obrać za wyłączną życia naszego karyerę i tak rozłożyć, aby się w pewną całość zaokrągliła“. — Od tej chwili istotnie myśl o Polsce jest wyłączną treścią jej życia — wszystko, co mówi, co robi, co pisze do tej jednej jedynej odnosi się idei.

„Jak nie myślę nad tem, co robić można, tylko nad tem, co w koło mnie się dzieje, pisze, tak zaraz czuję, że moja choroba się wzmaga, ale Bóg dał, że w końcu umiem jak najbieglejszy polityk uznać fakty dokonane za fakty dokonane i choć parzą w nogi deptać po nich — byle naprzód, byle w górę“.

Jednak niekiedy żal za przeszłością, za rozwianemi marzeniami, wzbiera goryczą w jej sercu i piołunem słowa jej zaprawia. Wobec cholery, która się srożyła w 52 roku i zarówno w Lublinie jak i w Warszawie mnóstwo ofiar zabrała — Żmichowska wraca myślą do chwili niepowrotnie straconej i mówi: „Przed czterema laty nie chciało im się na kule moskiewskie narazić, po czterech latach obrzydliwie życie zakończyli. Bóg ciągle uczy — ludzie nie chcą zrozumieć.“ Nie rozumie zupełnie obawy śmierci — sama tyle razy gotowa z życia swego zrobić ofiarę. „Zkąd dziś na świecie zwycięzcy i zwyciężeni, zkąd panowie i niewolnicy? zkąd ciemiężcy i zgnębieni? Oto z ludzi silniejszych, którym śmierć nie zagrażała i z ludzi słabszych, którzy się śmierci ulękli. Nie bój się śmierci, będziesz żył, — nie bój się śmierci, wydrzesz naturze nie pomyślane jeszcze uciech i szczęścia tajemnice. Nii bój się śmierci — Moskal ci karku nie zegne

---

2)

Nowocześni pogromcy narodu polskiego

i jego przeszłości w literaturze historycznej.

(Ciąg dalszy.)

W unii Lubelskiej spostrzeżono błąd zasadniczy, — chciano bowiem, aby w moc interesów rosyjskiej polityki XIII wieku, naród w wieku XVI zrzekł się przymierza dobrowolnego z drugim narodem, osiąganego na drodze pokojowej bez gwałtów i krwi rozlewu. Wzdychano do absolutyzmu i despotyzmu i żałowano, że takowy nie rozkrzewił się w Polsce na wzór krajów ościennych, a w uniesieniu dla bizantyjskiego ducha przygnębiania i unicestwiania mas, posunięto się do takiego stopnia, że szczególne te i sprzeczne z rozwojem ogólnym cywilizacyi europejskiej pragnienia nie obudziły uznania nawet u samych Rossyan.*) W końcu w sileniu się na dowody własnej winy, obciążającej Polskę w jej upadku, wyczerpano wszystkie możliwe zarzuty i ugrupowano je z taką starannością, że, jak słusznie jeden z pisarzy wyraził się**), praca owa wyglądała tak, jakby była podjętą na uniewinnienie rozbioru Polski.

Zadanie owo uskutecznione przez uczonego prawnika, traktującego historyę jakby z amatorstwa, które by można nazwać wirtuozostwem na polu nauki, gdyż przedstawia ono wszelkie cechy sztucznych i umiejętnych pasażów i modulacyj na nutę przebijającą się od początku sztuki koncertowej aż do samego jej końca, — wywołało w publiczności krajowej wielkie zdumienie, z którego w początku zdać sobie sprawy nie mogła, nie będąc przez swych poważnych dziejoznawców przyzwyczajoną do podobnego obchodzenia się z historyą. Mało obeznana z publicystyką tegoż samego rodzaju, posuniętą w innych krajach do prawdziwego mistrzowstwa, zgnębiona okropnemi przejściami krajowemi, które tamowały swobodny polot myśli, na razie pochwyciła ciekawie ten zupełnie nowy dla niej objaw kunsztu autorskiego, który, bądź co bądź, świecił blaskiem prawdziwego talentu. Talent ten pokrywał stronę i zadanie wewnętrzne, które, wypowiedziane in crudo w innym czasie i wśród innych okoliczności, musiałyby ściągnąć na autora stanowczo jeden olbrzymi głos potępienia. Na domiar do rozszerzenia się wśród ogółu książki, obejmującej to zadanie przyczyniła się zarazem i ta okoliczność, że w ogromnej części kraju naszego, zostającej pod panowaniem Rosyi, opracowanie przez historyka-specyalistę dzieła, któreby mogło swą treścią stanowczo zaprzeczyć publicystycznym poglądom autora owej książki i oddanie takowego do użytku publiczności, stawało się niemożebnem z powodu cenzury, której względy w każdym razie mogły wypaść tylko na korzyść omawianego autora, nigdy zaś na rzecz jego przeciwników.

Jeżeli atoli w kraju znękanym i pozbawionym swobodnego głosu książka przyjętą została przez ogół tylko z zaciekawieniem, natomiast w obcych nam literackich sferach Rosyi przywitaną została z nadzwyczajnym podziwem i uwielbieniem, w moc maksym w niej rozwiniętych, które się okazały zasadniczo sprzecznemi z całem wiekowem usposobieniem narodu polskiego odnośnie do Rossyi i systemu jej działań. Ujrzano pierwszy objaw porozumienia się Polaków z Rosyanami w tem ogłoszonem przez autora stanowczem „p a s s e“ nad przeszłością w grze o przyszłe losy narodu — i spostrzeżono, że jeden z najgłówniejszych atutów przechodzi w tej grze na stronę partnerów.

*) Karjejew, Upadek Polski, str. 53

**) M. Jezierski. Z dziejów dawnej Polski. Warsz. 1882, str. 51.

Austryak nie zamorduje, Prusak nie zbezcześci.“

Takie uczucia nie mogły znaleźć oddźwięku w społeczeństwie, którego ideałem stały się spokój i bezpieczeństwo, to też Żmichowska wciąż tęsknym wzrokiem spogląda ku rozproszonemu kółku entuzyastek i skarży im się ze swych smutków: „W tem życiu brak mi Polski; zaciemniały mi źrenice: gdy za wasze kółko wystąpię, to już nic nie widzę. Widzę dość niby takich, co ją więcej kochają niż majątek, niż szczęście rodzinne, niż wszystko — tylko nie lepiej niż siebie i pychę rozumów swoich i dla tego na różnicę synonimu w mowie mają różnicę nienawiści i przyjaźni w sercu. Dla nas tylko imię Polski jest łącznią prawdziwą, a uznanie jej miłości w kim drugim wystarcza na uznanie jego indywidualizmu pomimo foremek odrębnych“.

Dzisiaj po kilkudziesięciu latach iluż znalazłoby się ludzi, którzyby za Żmichowską wyznanie to powtórzyć mogli? którzyby tak wzniośle jak ona miłość ojczyzny pojmowali?

W tej epoce znowu powróciła Gabryela do ulubionej swej myśli odrodzenia narodu przez reformę wychowania. Przysposobić krajowi liczny zastęp zacnych obywateli, gorących i ofiarnych patryotów, było jej zdaniem pracą podstawową, na której przyszłość Polski budować należało. Jej osobiste stosunki, konieczność codziennej zarobkowej pracy, która jej nawet wewnętrznego nie przynosiła zadowolnienia, gdyż dając lekcye na godziny nie mogła wedle swej myśli programu wychowania reformować — odbierały jej możność wcielania w życie pięknych planów. Pisać zupełnie przestała w tej epoce; praca na chleb powszedni odbierała jej czas, a choć zachęty zarówno ze strony przyjaciół jak i ze strony redaktorów i wydawców nie brakło, Gabryela wprost nie miała odwagi na nowo do pióra się zabrać. Autorstwo uważała jako misyę, pisać dla chleba, pisać cośkolwiek, byle pisać, zupełnie nie umiała. „Lepszy jeden za dobrą sprawę wygnaniec, niż sto za myśl jałową kartek.“ „Żebym pisała, tłomaczyła się przyjaciołom, muszę mieć jakąś chwilę zachwytu, muszę się w jakiem odbiciu wiekuistej prawdy rozlubować, z pełności serca tylko mówią usta moje“. Serce jej smutnem było w owym czasie, a byłaby sobie za grzech poczytała przelewanie skarg własnych na papier, osłabianie i roztkliwianie czytelników, których właśnie hartem i odwagą natchnąć pragnęła.

Po pewnym czasie przeniosła się do Warszawy i tu stopniowo horyzont rozjaśniać się zaczął. Prócz dawnych towarzyszek, z któremi się znowu zbliżyła, zebrało się koło niej nowe, młode pokolenie entuzyastek, które w jej słowach zachętę i otuchę, w jej doświadczeniu rady i wskazówki czerpały. Dla nich to zorganizowała szereg wykładów, które pogadankami pedagogicznemi nazwała, a których celem było wskazanie kobietom, jak się mają kształcić, aby się do wychowania innych przysposobić. Kładła w nich wielki nacisk na gruntowność nauki i na wyrobienie w sobie samodzielnych na każdą sprawę poglądów, wychodząc zapewne z tego słusznego założenia, że tylko to — istotny umysłowy stanowi nabytek, co się na swoją osobistą własność przerobiło.

Rok 63 przetrzebił mocno gromadkę młodych przyjaciół, którzy się koło Żmichowskiej skupiali. Co do rezultatów ruchu nie łudziła się wcale i robiła co mogła, aby młodzież od niebacznych kroków powstrzymać. Choć jednak nie pochwalała ich postępowania, umiała je sobie do pewnego stopnia wytłomaczyć: „Niepewność unosi się nad wyobraźnią nie jak duch nad wodami, ale jak woda nad duchem. Całe generacye w niepewności swej karyery wychowane, rozwinęły w sobie szulerskie usposobienie“ więc też z lekkomyślnością szulerów młodzi wszystko na jedne stawili kartę i wszystko przegrali. Nieszczęsna ruchawka zabrała wiele ofiar i rodzinę Narcyzy krwawe dotknęły ciosy. Od chwili powstania Gabryela stale zamieszkała na wsi i oddała się kształceniu swych cioteczny h wnuków. Rodzinę miała liczną, pięć sióstr zamężnych, trzech braci, cały zastęp siostrzeńców, siostrzenic i ich dzieci. Im poświęciła ostatnie lata swej pracy, z nimi podzielała wszystkie radości i cierpienia, a cierpień było znacznie więcej. Śmierć zabrała jej w różnych czasach pięcioro rodzeństwa, a i młodsza generacya ciotkę i babcię na wieczny wyprzedziła spoczynek. Kółko przyjaciół wciąż się ścieśniało, dawne towarzyszki jedne po drugich do lepszego przenosiły się świata i coraz bardziej osamotniona Narcyza coraz goręcej za śmiercią tęskniła. Tęsknota ta nie płynęła ani z tchórzostwa, ani z pesymizmu, ani z niechęci dla otaczającego ją świata, ani też ze zwątpienia o przyszłości. Do ostatniej chwili nie przestała się interesować wszystkimi współczesnymi wypadkami, a każdy ważny fakt w dziejach ludzkości, każda zmiana w położeniu kraju, każdy nowy prąd narodowego życia przejmował ją do głębi. W czasie wojny francuzko-pruskiej pisze: Zaczytuję się co sił starczy, a nie mogę sobie dać rady, tak mnie ono rozkiełznanie barbarzyństwa europejskiego przeraża. Być atomem indywidualnym w takiem społeczeństwie i żadnej — żadnej drogi nie widzieć przed sobą!“

W epoce tej przyszło jej na myśl utworzenie ligi pokoju, zamarzyła dla kobiet o roli rozjemcy w politycznych sprawach tj. zamarzyła na daleką przyszłość, dla nowego pokolenia kobiet rozumnych i samodzielnych, rozumnie wychowanych: „Juści to nie leży w naturze rzeczy, pisała, żeby kobieta życie męża i syna stawiła przeciw wygranej jakiejś handlowej korzyści, albo, żeby jej szło o zmuszenie innych kobiet, aby jej językiem mówiły i do skarbu jej państwa opłacały podatek — jest tylko w naturze rzeczy, by kobieta nie szczędziła nawet krwi najukochańszych swoich dla uchylenia ogólnej krzywdy, albo dla dobicia się oświaty, albo dla odparcia zaczepki.“

Nowe prądy literackie, które postępowa młodzież warszawska w piśmiennictwie zainaugurowała zyskały jej gorącą sympatyę. Pochwalała z całego serca jej cześć dla nauki, cześć, którą zresztą przez całe podzielała życie. Sama nie porzucała do śmierci umysłowej pracy, czytała dzieła naukowe i młodsze kobiety do kształcenia ciągłego zachęcała. Stosunek jej do młodego pokolenia był zawsze serdecznej życzliwości pełen. O uczuciu tem pisze do jednego ze swych młodych przyjaciół: „Jak w młodości bardzo szanowałam starość, tak teraz, gdym już sama w latach pochylona, zaczynam bardzo młodość w jej prawach szanować. Są niezawodnie rzeczy, które mogę lepiej od was zrozumieć, dla tego, że wśród nich żyłam, ale bezwątpienia wy lepiej odemnie rozumiecie całą teraźniejszość i wszystkie potrzeby bliskiej przyszłości, wśród której składowa cząsteczka historyczna naszej osobistości się rozwija.“

Między nią a dojrzewającem pokoleniem snuła się zawsze nić sympatyczna wspólnej wiary, wspólnych dążeń i wspólnych na dalszą przyszłość nadziei. A jednak pragnęła śmierci, gdyż czuła się już bezsilną do nowej pracy, przez wiek i chorobę na bezczynność skazaną, wolną od wszelkich obowiązków — żadną powinnością do ziemi nie przykutą — więc ile razy w koło niej śmierć zabierała ludzi młodszych i silniejszych, dzieci rodzicom, rodziców dzieciom porywała, zawsze wydzierało jej się z piersi westchnienie: „Czemu nie ja raczej, — nikomu do szczęścia niepotrzebna, nie ja — samotna, nie ja — bezczynna — ale tylu innych pożytecznych, kochanych, kochających na wieczny przenosi się spoczynek?!“

Owa upragniona chwila i dla niej zabłysnęła nareszcie. Zmarła w Warszawie w 76 roku w święta Bożego Narodzenia. Ci, co ją znają osobiście, ze czcią wspominają jej imię, gdyż jej zawdzięczają najwznioślejsze natchnienia, najzdrowsze rady, najczystsze pragnienia ideału,

---

Systematycznie opracowujący dobę upadku Polski, a pomijający z rozmysłem całość jej dziejów, historycy rosyjscy zagrzani zostali nowym duchem do wydobywania na jaw najdrobniejszych śladów znikczemnienia — „wyrodzenia się“ polskiego społeczeństwa w całym ciągu dziejowego żywota, a jednym z najzapaleńszych, najbardziej nieutrudzonych na tem polu bojowników okazał się P. Kariejew.

W sprawie tych ostatnich badań nie uważalibyśmy za potrzebne głos zabierać, gdyby nie to, że dwie prace P. Kariejewa, jedna po drugiej, zostały przetłomaczone na język polski i podane przez to do szerokiego użytku polskiej publiczności. Najświeższa z nich nosi tytuł: „Upadek Polski w literaturze historycznej. Przekład z rosyjskiego“. Kraków. 1891. Str. XV i 387; bezimienny zaś tłumacz w przedmowie swej zalecił dzieło ogółowi publiczności, nazywając autora „bezstronnym i sumiennym“.

W książce, o której mówimy, P. Kariejew podjął się ze wszech miar niewdzięcznego zadania, zasadzającego się na zestawieniu wyroków o przyczynach upadku Polski, wygłoszonych przez historyków cudzoziemskich i krajowych. Z powodzi tych wszystkich zebranych w jego dziele i sprzecznych z sobą poglądów, rodzi się całość w formie chaosu, który może niejednego mniej cierpliwego czytelnika, po przejrzeniu kilkudziesięciu stronnic, odstraszyć i stanowczo zniechęcić do przeczytania dzieła w całości, i, który zarazem samemu autorowi nastręcza poważne trudności w wyczerpaniu i postawieniu ostatecznych wniosków nie zupełnie zgadzających się ze zdaniami, wypowiedzianemi mimochodem przy cytowaniu pojedyńczych autorów. Niemniej jednak z całego dzieła przegląda wybitnie zasadnicza myśl autora, zawierająca się w stanowczem zaprzeczeniu narodowi polskiemu wszelkich praw do bytu odrębnego i w dowodach, iż byt takowy był niemożebnym.

Taktyka, którą P. Kariejew obrał w swej walce o odjęcie Polakom praw do egzystencyi, jest mniej więcej następująca: zasadza się ona na ugrupowaniu starannem wszystkiego, co na naszą niekorzyść zostało wypowiedzianem i co świadczy podług jego przekonań o niezdolności naszej politycznej. Jest to szereg obszernych cytat z dzieł niemieckich, francuzkich, polskich i rosyjskich, powtarzających wciąż na różne tony znany całemu światu ogólnie temat o anarchii. Z konieczności tu i owdzie musiało się przedrzeć przez ten zwarty szereg bagnetów ku nam najeżonych, jakieś słowo usprawiedliwiające dążności naszego społeczeństwa, jakaś obca uwaga mniej lub więcej dla nas życzliwa, której niepodobna było P. Kariejewowi usunąć, gdyżby w takim razie przytaczany przez niego pogląd obcego autora był niezrozumiałym... Wreszcie profesorowi rosyjskiemu szło może zarazem i o to, aby odjąć o ile możności swemu dziełu cechę paszkwilu, którą by miało wtedy, gdyby się nic w niem nie znalazło z tego, co kiedykolwiek wypowiedzianem zostało na uniewinnienie Polski. Powołuje się on nawet w swej przedmowie na obowiązek pamiętania o „mądrym przepisie: audiatur et altera pars“, zastrzega się przeciwko posądzaniu go o „polonofobię“, — atoli owo zaręczenie bezstronności śmiesznie bardzo wygląda po przeczytaniu całego dzieła, którego cel najmniej nawet przenikliwemu czytelnikowi musi się stać zrozumiałym i widocznym.

P. Kariejew czerpie swe cytaty przedewszystkiem z historyków i pisarzy nieprzychylnych sprawom Polski i jej narodowi, dając w tej mierze zupełną folgę swej namiętności unicestwienia naszego społeczeństwa (atwadia duszu, jak by się dało po rosyjsku powiedzieć), z pisarzami dla nas życzliwymi obchodzi się on nieco inaczej; zmuszonym się czując, wspomnieć o nich, aby go nie posądzono o rozmyślne przeoczenie, czyni to w sposobie przelotnej zaledwie wzmianki, nie posługując się bynajmniej cytatami, mogącemi należycie usprawiedliwić ich poglądy. Tak n. p. o sir Robercie Phillimore powiada*),

*) Upadek Polski, str. 164.

do którego przez całe życie po cierniach i kolcach niezmordowanie dążyła, i który w tych słowach dla młodych określiła pokoleń:

..... Wielkie szczęście ludu całego,
Prawo Chrystusa w rzeczywistości,
Ze słowem Bożem — chleb dla każdego,
Z życiem na ziemi — miejsce wśród tłumu,
Ze światłem słońca — światło rozumu,
Z pamięcią przodków — win odpuszczenie,
A z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie.

Izabella Moszczeńska.

LISTY
Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.

IV.

Płynie jasne nieskalane winą
Życie niebian wśród nieśmiertelności,
Jak zefiry nad Olimpu kwiatem
Czas przemija i narody giną —
Róże kwitną boskiej ich młodości
Wiecznie wonne ponad ruin światem.

Takie jest życie bogów! Takie jest owo wiecznie jasne i dalekie, blado-lazurowe niebo ideałów klasyczności. Ale dla nas wykarmionych krwią i duchem wieszczów romantyzmu, dla nas ludzi życia i czynu jest ono za jasne, za dalekie i nadto lazurowe: nas bolą te „ruiny,“ a nie możemy się pogodzić z myślą, że „narody giną.“ To też nasz Bóg nie ginie i nie ulata w błękitne tonie eteru, lecz zmartwychwstaje i powraca na ziemię w ludzkiej postaci, a ideał nasz dąży do wcielenia się w czynie dziejowem tak jak niegdyś „słowo stało się ciałem.“

Nie smutna rezygnacya, nie zniewieściałe pocieszanie siebie w niedolach życia marzeniami świadomie nierealnemi, lecz męzkie dążenia do wielkiej rzeczywistości w przyszłości chociażby dalekiej — takie jest nasze przeznaczenie.

Jakież są symptomaty naszego zmartwychwstania, — jaki zakład naszej przyszłości?

Na czele narodu jako strażnica jego godności, jako przewodniczka jego po drodze postępu stoi inteligencya kraju. Jej obowiązkiem i przeznaczeniem dziejowem, wiedzieć dokąd podąża naród, czuwać by nie zboczył na manowce, wykazywać prostą i szeroką drogę prawdy, rzucać w mglistą przyszłość promienne blaski ideałów.

Jak się przygotowywa do tego wielkiego powołania nasza inteligencya — na to odrobinę światła rzuciliśmy już w jednym z poprzednich listów, mówiąc o młodzieży uniwersyteckiej warszawskiej. Ale tamto oświetlenie było zbyt przypadkowe i niewystarczające. Sprobujmy spojrzeć na nasze nadzieje z nieco szerszego stanowiska niż przypadkowe i chwilowe obserwacye.

Między ludźmi myślącymi i wyciągającymi praktyczne wnioski z tego co widzą, możliwy jest typ dwojaki. Jedni widząc niesprawiedliwość losu, nędze i niedole życia, czują z jej powodu wielki smutek, i zadumanem okiem rzucają w zagadkowe oblicze życia owo „Czemu?“, które poetka wkłada w usta chłopięcia „z szopką:“

Wszakże choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolendą i szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: „bracia, Chrystus się narodził!“

Czemu?

Są to melancholicy boleści światowej, którzy przy odpowiednim temperamencie, potędze ducha i warunkach dziejowych mogą stać się reformatorami, apostołami, rewolucyonistami, lub przynajmniej ludźmi burzliwie potrząsającymi rzeczywistością i głośno kołacącymi w zamknięte podwoje przyszłości.... W warunkach mniej przyjaznych zostają tylko duchami złamanymi boleścią, która nie jest ich własną boleścią, wielkimi w swoim smutku, w swojem odosobnieniu, w swojej nieczynności przymusowej.

Inni przeciwnie nie stawiają żadnych „czemu“ i nie myślą o wszechświatowych bólach, lecz widząc, że na świecie, jedni bywają pod wozem, drudzy na wozie starają się należeć do tych ostatnich.

Że takich jest ogromna, przeważna, przygnębiająca większość wśród naszej inteligencyi o tem nikt nie wątpi; ale nie byłby tak smutny ów symptomat, bo toż samo bywało mniej więcej zawsze i wszędzie. Rzeczywiście zaś smutnem i bolesnem jest to, że owa zasada wdzierania się na wóz bądź co bądź, nie tylko, że nie jest potępiana, że jej się nie wstydzą, lecz przeciwnie wygłaszają z zupełnie naiwną otwartością, albo nawet podnoszą do godności jedynej zdrowej zasady życia.

I jakże przesiąknięte jest całe życie ideowe naszego społeczeństwa bałwochwalstwem egoizmu i powodzenia! Jak odbija się na każdym kroku czy to w instytucyach prawnych i politycznych, czy w dobroczynności prywatnej lub sądach o literaturze.

Świeże postanowienie izby francuzkiej względem posła Toussaint'a zostanie niezawodnie plamą nigdy nie zmytą na tej izbie, plamą służalstwa w obec klas możnych i bezecną zbrodnią przeciwko swobodzie opinii parlamentarnych, taką, z którą porownać można tylko nadużycie, popełnione u nas przez posła z Upity. Jakto, przedstawiciel narodu oddany pod sąd za to, że skarcił zuchwalstwo żandarmów!? Nietykalność więc osoby posła jest tarczą tylko dla tych, którzy występują w obronie zamożnych klas, a ci, którzy sumiennie spełniają powołanie swoje, broniąc interesów większości swoich wyborców skazani są na prześladowanie sądowe za zbrodnię „obrażenia żandarmów?“

Po tej decyzyi izby przytem tak słabą większością przeprowadzonej, szanującym siebie posłom, nie pozostaje nic więcej jak tylko złożyć swoje mandaty...

U nas nie ma pola do takich popisów, ale toż samo służalstwo opinii daje się widzieć w innym zakresie.

Bo nie możemy inaczej nazwać niektórych sądów i zdań, wynurzanych w druku, chyba, że zechcemy w nich widzieć objaw tak występnej lekkomyślności, takiego niezrozumienia powołania literatury i odpowiedzialności moralnej za wydrukowane słowo, które graniczy wprost z żakowską naiwnością.

Oto naprzykład drugi z rzędu młody krytyk, rozbierając poezye Konopnickiej, przyznaje wprawdzie piękność jej ludowych poezyi, ale potępia w nich tendencyjność i czyni takie uwagi:

„Ale czyż istotnie maluczkim zgotowano tylko posępne życie i zgon beznadziejny? czy ciemne pasmo ich dni, nie przetkane ani jedną srebrną nicią radości? czyż po nad chatami tylko wichry huczą, cieką chłodne strugi, a słońce patrzy bladą twarzą niemej tęsknoty? Więc na żywot oraczy tej ziemi smutków składają się jedno krzywdy niezapomniane, niedola obecna i hańbiący wypoczynek po znoju na dnie wilgotnem strumienia? Oczywista, że autorka *we własnym nastroju* nurza nasze pola i chaty, że krzepkiemu chłopu daje *swe nerwy i wrażliwość* i przebywać mu każe *w obcej dlań(!) atmosferze melancholii i tęsknoty*, że uporczywie uderza w jednę tylko grobową strunę lutni i wieśniacze życie ukazuje nam nie bez tendencyi w jednem zawsze i tem samem oświetleniu:“

A wreszcie krytyk daje taką radę:

„Nieco nadziei i wesela, nieco tonów rzeźkich i radosnych urozmaiciłoby smutne piosnki i pieśni i wrażenie prawdy, jakie wywierają, znakomicie by spotęgowało.“ — Zapewne uczyniło by to jeszcze w większym stopniu przybranie tych „poczciwych wieśniaków“ w kolorowe fraki i upudrowane peruki, a włożenie im w usta sentymentalnych frazesów w salonowym stylu jak to działo się w operetach francuzkich i francuzko-polskich z końca przeszłego stulecia;

Ale w jakże odmiennym tonie przemawia

żże autor ten, jak widać z odsyłaczy jego dzieła, mógł posiłkować się tylko przestarzałemi dziełami Ferranda, Rulhière'a, Raumer'a i innych, — nie przeszkadza to jednak P. Kariejewowi w innem miejscu przytaczać z dzieła Rulhière'a wszystkie te nieliczne ustępy*), które mogą być w jakikolwiekbądź sposób użyte przeciwko Polakom, dopełniając ze swej strony cytowanego przez się autora objaśnieniami w duchu własnym, i według własnego sposobu zapatrywania się. Na przeszkodzie stoi mu wielce okoliczność, że Rulhière był doskonale z archiwów francuzkich powiadomionym o stanie dyplomatycznym kwestyi polskiej i że, co więcej, znał dobrze Polskę i zbierał dane na miejscu. Z badaczami tego rodzaju trudno walczyć. — P. Kariejew ma na to swój właściwy rodzaj oceniania rzeczy; ponieważ mu się poglądy i zdania Rulhièr'a nie podobają, oświadcza on przeto, że „autor ten opisywał współczesne mu wypadki, rozpatrując je pod pewnym kątem widzenia, który się wytworzył pod wpływem ówczesnym opinii publicznej oraz stosunków Francyi względem Polski“.**) Miarkę tę jednak można by z równą słusznością zastosować do autorów nieżyczliwych Polsce, czego przecież P. Kariejew nigdy, gdy o nich wspomina, nie czyni. Robiąc króciutką wzmiankę o dziele Roepell'a: „Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts“, powiada, iż dzieło to nie zawiera w sobie żadnej ogólnej myśli, i że ma znaczenie wyłącznie faktyczne“,***) — łatwo atoli zrozumieć tę niechęć P. Kariejewa, gdy jest rzeczą dobrze wiadomą, że Roepell w dziele powyższem dał się poznać gruntownem wyrozumieniem stosunków i ściśle objektywną bezstronnością. Doskonałe, tchnące rzeczywistą prawdą i dokładną znajomością stosunków i osób twierdzenia autorów dzieła: „O ustanowieniu i upadku konstytucyi 3 maja“, naocznych świadków przebiegu rzeczy, p. Kariejew zbija czem naprzykład — oto poprostu twierdzeniami zawartemi w dziele Kostomarowa: „Paślednije gody Rieczi Paspolitoj“*) — dla tego tylko, że mu nadzwyczajnie trafiają do przekonania zaczerpnięte, że tak powiemy, z powietrza, wnioski jego współziomka, doskonale znanego ze stronności swej odnośnie do Polaków i wogóle z sądów wysoce fantastycznych, wiekopomny dowód których złożył w oddzielnem swem dziele o Bohdanie Chmielnickim, podnosząc w nim osobistość tego ostatniego na wyżyny niemal idealnego bohaterstwa i dając tem pierwszy impuls do praktykowanego w dzisiejszej dobie wznoszenia okazałych pomników człowiekowi, którego zasługi względem ludzkości stawiane być mogą chyba na równi z zasługami Pugaczewa lub Stieńki Razina. W ferworze zarzutów, stawianych autorowi dzieła „O konstytucyi 3 Maja,“ P. Kariejew posuwa się nawet do rozmyślnego paczenia faktów historycznych i zabarwienia ich cechą, której nikt nieuprzedzony nie mógłby się w nich dopatrzeć. Tak n. p. powiada on: „dzięki gwarancyi rosyjskiej po raz pierwszy odjęte zostało prawo życia i śmierci nad chłopem“***); w innem zaś miejscu**) cytuje z dobrą wiarą i bez żadnych poprawek rażące kłamstwo jednego z najfanatyczniejszych nieprzyjaciół Polski, Kojałowicza, że postanowienie, odejmujące szlachcie prawo bezkarnego zabijania chłopa „zapadło jeszcze na sejmie radomskim (którego, powiedzmy nawiasem, nigdy nie było, była tylko konferencya radomska) na żądanie przedstawiciela Rosyi, księcia Repnina“.

*) L. c. str. 85—89.
**) L. c. str. 83.
***) L. c. str. 152.

*) L. c. str. 23—25.
**) L. c. str. 21.
***) Ssr. 201.

(Ciąg dalszy nastąpi).

owa „beztendencyjna“ krytyka o „Faunie“ (z cyklu „Italia“):

„Na ziemi włoskiej, pod wrażeniem greckiej plastyki natchniona śpiewaczka uderzyła w struny zachwycenia tak potężnie, wydobyła melodyę grzmiącą i tak zawrotną, że piękny, nagi geniusz rozkoszy i szału, o krwi gorącej i zmysłowej twarzy, zaklęty ręką mistrza w marmur ożył ponownie w pieśni i puścił się w namiętny i niepohamowany bachiczny pląs młodości.“

I cóż to wywołuje takie zachwyty? Ni mniej ni więcej tylko opisanie pijanego kozłonogiego bożka, wykrzykującego:

Jak świeży gaj! Jak piękny świat!
Jak kipią życia miody!

I dalej idzie jeszcze dziesiątek wierszy zachwytów w tym rodzaju.

„To wiecznie młody geniusz starożytnej Hellady, przybrawszy kształty nieśmiertelnego piękna stanął widomie przed autorką naszą“ i t. d.,

A zakończenie jest takie:

„Żadnych ogólników, ani śladu ukrytej lub jawnej tendencyi. Poetka nie przemawia ani do chłopa, ani do pana, ani do mężczyzny, ani do kobiety, lecz do serca i do wyobraźni. Pracuje dla czystego artyzmu i jest w swojej roli, hołduje pięknu i jest natchnioną. Tak staro-dawne hasło estetyczne — sztuka dla sztuki, święci za dni naszych nowe tryumfy.“

Zapewne, sztuka nie istnieje dla butów, ani dla żołądka, jest sama sobie celem — i o tem wiedzieli doskonale mistrze romantyzmu, którym by jednak nie przyszło na myśl postawić na szczycie poezyi opisanie „Willi Cycerona“ lub „Zofiówkę“, ale służy ona człowiekowi i biada temu hasłu, które tryumfy swoje święci w „zawrotnej“ poezyi allegoryj rzymskich. Jeśli zasada — sztuka dla sztuki — ma w ten sposób święcić swoje tryumfy, to wolimy się jej wyrzec i zastąpić inną: „sztuka dla ludzkości.“

A tej krytyce, która przez świadomą złą wolę lub występną lekkomyślność sieje złe ziarno winniśmy surowe słowo ostrzeżenia...

O biada wam faryzeusze ducha, odwracający uwagę społeczeństwa od żywotnych zagadnień, ażeby uwieść ją na manowce, zająć faunami i satyrami! Biada ci literaturo przekupna, która witasz oklaskami i zachętą każdy fałszywy krok, jaki zdarzy się nieraz popełnić nawet wielkim wieszczom na drodze swojej, krok oddalający ich od idei przyszłości.

Że poetce obok innych obrazów mógł przesunąć się jakiś drobiazg, który od niechcenia rzuca na papier jako przelotne wrażenie — to rzecz zrozumiała i której jej za złe mieć nie można. Ale tendencyjnie podnosić takie utwory, wynosić je po nad te, w których wylały się najszczytniejsze porywy ducha, w których odzwierciedliły się dążności najlepszej części społeczeństwa, — to już coś więcej niż brak rozumu i smaku...

Więc na malowaniu faunów i satyrów polegać ma największa zasługa p. Konopnickiej? Więc przejście do tych tematów stanowić ma istotny postęp w rozwoju jej talentu? Takie obrazki więcej nas wzruszać mają niż „ta biedna chata,“ ku której prosto szła niegdyś przemawiać „wprost do serca?“

Takie więc jest powołanie poezyi?

Czyli świątynię sztuki mają zapełniać bezmyślne bawidełka, kiedy myśl postępowa wieku usiłuje zedrzeć zasłonę ukrywającą przyszłość?

Maż poezya uderzać w błazeńskie dzwonki wtedy, gdy społeczeństwo natęża wszystkie siły, aby wydać czyn.

Kiedy wszyscy żyją jedną wielką nadzieją, kiedy modlą się o nowe światła — kapłani sztuki zamykać mają przed tłumem jej kościoły i tańczyć kankana na wzór owego fauna ku uciesze „duchów wybranych?“

Precz mi z taką sztuką; precz z fałszywymi jej kapłanami, którzy nie umieją czuć razem ze swojem społeczeństwem, nie rozumieją potrzeb swego narodu, lub sprzedają najwyższe jego interesy za błazeńską czapkę z dzwonkami kurjerkowego rozgłosu!...

I tu staje mi przed oczyma obraz wspaniały w swojej grozie, obraz proroczy, nakreślony przed półwiekiem przez jednego z największych, a może największego z naszych wieszczów-myślicieli:

„Od środka świata, z podziemiów przepaści wzbił się teraz posępny wściekły wrzask, który poleciał ponad głowy narodom i rozbił się o wystawę. Książęta i urzędnicy na chwilę pobledli — ale kupcom twarz się nie odmieni — roześmieli się tylko, głaszcząc brody siwe.“

„Szły ztamtąd olbrzymie postacie samym środkiem mnóstwa czarnego — szły na przebój i coraz bardziej rosły w oczach młodzieńca, aż poznał owych dwunastu poświęconych i ich wodza trzynastego, który ich prowadził, sztylet w prawicy trzymając, a w lewicy czarę.

„A gdy zbliżał się do wystawy, twarz jego, po nad głowami innych ludzi zdała się pryskać iskrami, nabiegać potęgą. Przywiódł swoich aż na pierwszy wschód — tam kazał im usiąść i czekać. Sam nie pytając o żadne pozwolenie, a ręką odginając bagnety żołnierzy, wstąpił i w górę szedł — ogromny, niewstrzymany, potrząsając grzywą włosów jak lew!

A jeden z kupców zeszedł ku niemu i wprowadził go aż na sam szczyt wystawy, w środek koła radnego. W tej chwili zdało się młodzieńcowi, że nagle oczy olbrzyma pozbyły się iskier i że gniew czoła jego mięknieje. Jednak, stanąwszy śród kupców, krzyknął głosem podobnym do grzmotu: „Od poniewieranych, uciśnionych i nędznych raz ostatni przynoszę wam pozew;“

I głosowi temu wtórowały zgraje niektóre — i głosowi temu w oddali odkrzyknęła przepaść!“

„Olbrzym schylił się i obosieczny puginał rzucił na posadzkę — potem jeszcze niżej się garbił i spuszczał, aż czoło jego zniknęło z oczu narodów — i tak przełamany siadł na jednym z tronów kupieckich i cichym głosem zapytał: „Mówcie prędko, za tę czarę krwi wiele dajecie dzisiaj? *) . . . .

. . . .

Jakąż odpowiedź dam na owe „czemu?“ rzucone przez chłopię?

. . . . O dziecię! mgła nocy zasłania,

Dzień, co odpowie na twoje pytania...
Och! aby tylko nie zeszedł on sądem
Klęsk ostatecznych nad morzem i lądem,
Och! oby tylko wiekowi przyszłemu
Grom zemsty twego nie powtórzył: czemu?

O posłowie francuzcy, o literaturo służalcza, o inteligencyo-olbrzymie, podwajająca cenę za krwi czarę, jakąż straszną przyszłość gotujecie wy dzieciom naszym. *Dzwon.*

*) „Sen“ Krasińskiego.

Salon oficyalny w Pałacu Przemysłu.

Paryż 20 maja.

Może dwa tygodnie przed otwarciem Salonu na polach Elizejskich byłem w towarzystwie artystów z różnych sfer, należących do różnych odcieni i obozów. Wymyślano tam na szkoły rządowe — na impresyonistów, na sztukę w ogólności, na publiczność, idem — miano wielką chęć wymyślania sobie wzajemnie. — Zdwało mi się, że tylko w nowelkach spotykają się podobne typy i odnajdują się takie zebrania. Słuchałem tego z tem większem zajęciem, że było to właśnie w przeddzień otwarcia wystawy. W wigilię walki o los i przyszłość tych wszystkich istności, które zawisły od dobrej woli mniej lub więcej łaskawieusposobionego „Jury.

Wtem zjawił się nowy przybysz z tragicznym nastrojem twarzy. „Co ci jest“ — pyta się zebranie — Odmówili mi przyjęcia obrazów!“... „Jakich? — co przedstawiają?“... „Portrety“ — i to w dodatku jeden z nich rok temu został przyjęty — a dziś go odrzucają... „Mój kochany!“ odzywa się już dojrzały rzeźbiarz, jeśli chcesz być przyjętym przez naszych wielkich sędziów z pałacu przemysłu, nasmaruj jakiegokolwiek świętego, a przyjmą ci z zamkniętemi oczyma.“ — Czy rzeczywiście? Pod takiem wrażeniem, najpierw tej nowej mody, a powtóre niesprawiedliwości Jury, szedłem na „vernissage“ w tem przekonaniu, że jeśli odrzucają wcale niezłe rzeczy, bo widziałem kilkanaście takich „refusés“ płócien, to muszą chyba albo same przyznać arcydzieła, albo Salon tegoroczny zamieniono na kaplicę z płótnami treści religijnej.

Przechodzę wielką „hallę“ rzeźb, zostawiając je na sam koniec, bo tutaj zawsze mniej widzów, niż w górnych salonach mieszczących olejne obrazy, pastele, akwarele etc. Robi ona już samym ogromem i mnóstwem marmurów, gipsów i bronzów kolosalnych, więcej imponujące wrażenie od swej młodszej siostry na polu marsowem. — Idę prosto do sali honorowej, „Salon Carré“ wystawy, i wprost drzwi staję zdumiony — bo z pierwszego ogromnego płótna patrzą na mnie oczy naszego polskiego chłopa, wydzierają się z pod promieni słonecznych głowy naszych rozśpiewanych i rozmodlonych wiejskich kobiet.

Tego chyba nie malował Francuz. — Podpis „W. Szymanowski“ — a tytuł „Modlitwa“ chociaż tak samo mógł go nazwać „Głos dzwonu.“ Płótno, o ile na oko sądzić można jest 6 metrów długie, podzielone na trzy części. Na lewo na ciemnem tle nieba, poczciwa nasza stara dzwonnica z rozmachanym dzwonem — w środku tłum mężczyzn i kobiet na kolanach — trzeci wreszcie, ołtarz z wystawionym św. Sakramentem. Światło środkowej kompozycyi bardzo efektowne i przytem bardzo naturalne — nastrój i wyrazy znakomite — za to świece na ołtarzu — zupełnie nieprawdziwe i zupełnie nie świecą. — Ale co tam — serce doprawdy bije człowiekowi lżej i swobodniej. — Bądź co bądź, to nasz i taki dzielny, że przeszedł zwycięzko przez pręgierz Jury i nietylko przeszedł, ale zdobył najlepsze bodaj miejsce — i kto wie, czy prócz miejsca nie dostanie jakiego medalu. — Szczęść mu Boże. — Byle tylko nie przyczepili go do matuszki Rosyi i nie ozdobili żółtą flagą z dwugłowym orłem, jak tutaj od czasu Alfansu jest w modzie.

Poprostu nie mogłem się oderwać od tego naszego obrazu przez długą chwilę, a gdy wreszcie zacząłem przeglądać w tej samej sali pomieszczone dzieła — stanęło mi żywo w wyobraźni zebranie artystów i biedak z swymi odmówionymi portretami. — Poprostu banalne ohydy. — Nie będę wam cytował nazwisk, które jeśli dobry gust publiczności zupełnie zatraconym nie zostanie, nigdy nie zjednają sobie rozgłosu. — Druga sala to samo, — konwencyonalne konterfekty, wymęczone pejzaże — na efekt obliczone „genre.“ Dopiero bodaj w czwartym salonie po długiej peregrynacyi doznaję przyjemniejszego uczucia, tego drgnienia miłego na widok prawdy i prawdziwie pojętej natury. — To Fiordy Normanna — zawsze ta sama cudna przezroczystość wody, te olśniewające śniegi na szczytach gór, ta harmonia w całej naturze — ale niedaleko umieszczono wielką dekoracyę Bonnat'a, prezesa towarzystwa artystycznego — przez tyle lat pana życia i śmierci tych, którzy nie mają prawa umieszczenia na swych obrazach magicznego h. c. („hors concurs“), nazywa się to „Sztuka Tryumfująca.“

Bardzo dobrze — ale kto tu tryumfuje? Czy mocno, za mocno przecharakteryzowany apoplektyczny, bo nawet nie apokaliptyczny rumak? Czy przewracający koziołki panowie i panie? Sam „wielki mistrz“ chyba byłby nam wstanie to wytłumaczyć. I dalej się posuwam — oto nimfa pana Bennera — apoteoza ciała i apoteoza dokładności rysunku, miękkości, karnacyi — wypracowanie pod którem każdy sprawiedliwy profesor, podpisał by — bardzo dobrze. Opodal pierwszy, ale doprawdy ładny portrecik p. Danin i nowe obrazy i obrazy bez końca. Mój Boże, ile tu wyszło farb, a ile metrów płótna! Nic więcej powiedzieć nie mogę. Wreszcie „chapeau bas“ oto dzieło nie banalne i takie, przed którem zatrzyma się każdy — „La main chaude“ p. Roybet, właściciela wielkiego złotego medalu przeszłorocznego. Zwykle taki nagrodzony najwyższą odznaką honorową, zasypia na laurach i wiedząc, że mu już nic do sławy nie przybędzie, smaruje tylko tak jakby od niechcenia — oto pierwszy prawdziwy „luteur“ nie zalegający pola. Wprawdzie p. Roybet, bardzo przypominający Rubensa, przedstawił nam kilka tych samych modeli, ale jak wykonane — to wszystko żyje, a co za ruch, co za rozmachany pendzel, i technika, połączona z wybitną indywidualnością. — Stokroć wolę tego-

roczny jego obraz od nagrodzonego w przeszłym salonie, i gdyby jeszcze wyższa istniała nagroda, nie widzę nikogo godniejszego jej posiadania. Któż tak potrafi oddać szczery, może zbyt rubaszny śmiech tej rozhukanej Magdy i na wpół pijanych rajtarów?! Ileż oni szklannic wina musieli wysączyć?! A może nektar pochodził z umieszczonych obok przepysznych winogron p. Mairiat! Doprawdy tak są soczyste i tak „nature“, że zmęczonemu upałem i kurzem Salonu, ślina do ust przychodzi i żałuje się, że są tylko malowane. Chciałoby się teraz po godzinnem popychaniu odpocząć na takiem owsianem polu p. Quignon, pod takiem przezroczystem ciepłem niebem normandzkiem, tak bardzo przypominającem nasze żniwne niebo: — Po Normannie pierwszym, a może nawet przed nim jest Quignon mistrzem plein-airu. Cóż można więcej żądać??! Tout y est! — Na jego pejzażach nietylko oddycha się powietrzem, ale czuje się zapach łąk, odróżnić można owies od jęczmienia, poznaje się każdą trawkę, każdy kwiat polny. Szkoda, że nie ma miejsca na środkowej kanapie, bo zostałbym tu dłużej.

Zatrzymuję się nie z zachwytu, ale ze zdumienia i nie dla obrazu, ale dla nazwiska przed portretem Munkaczego: Matka z dwojgiem dzieci — od kilku lat autor Chrystusa przed Piłatem obrał sobie ten lukratywniejszy rodzaj i traktuje go, być może z wielkiem powodzeniem pieniężnem, ale nie osobliwem mistrzostwem. Pierwowzór tego, co nazywają wylizanem malowaniem, zupełnie jak gdyby robił oszczędności na farbach.

Nie można tego powiedzieć o p. Rochegrosse, twórcy „Śmierci Babylonu.“ Jego „Chevalier aux fleurs“ jeśli nie każdego zachwyci, pociągnie wielką szczerością, przejęciem i uczuciem, wreszcie wiarą w obrany temat. Akademia Juliana może być dumną z takiego ucznia, którego czekają w przyszłości najwyższe medale i zapewnione miejsce w „Institut.“

Dziwnie mi, że dotychczas nie spotkałem jeszcze żadnego obiecanego obrazu religijnego. Po przeszłorocznej epoce Madon, bodaj nie spotkałem ani jednej. „Czyżby ów rzeźbiarz zakpił sobie z biednego „refusé?“ Za to co krok widzę sceny wojskowe, a co więcej niema sali w której by nie figurował jaki mały lub większy Napoleon. Chyba muza śpiewaka Napoleońskiego p. H. d'Esparbes wprowadziła znowu w modę wielkiego cesarza. Nie zanotowałem wszystkich, ale pamiętam większą część. I tak: jest Napoleon przebywający Alpy — Napoleon pod Tilsit obdarzający krzyżem legii żołnierza rosyjskiego (pochlebstwo nowe dla Rosyi), — jest Napoleon ogrzewający się przy ognisku w chałupie, żegnający marszałka Launes, śmiertelnie ranionego pod Essling, w Egipcie, w Hiszpanii, w surducie i szlafroku — wreszcie, o! zgrozo! najgorszy ze wszystkich Napoleon z Papieżem w Fontainebleau, pędzla J. P. Laurens. — Kiedy już napisałem tak wielkie i znane nazwisko, a tak mizernie reprezentowane, muszę oddać tę sprawiedliwość, że nie wszyscy znani mistrze tak marne nadesłali dzieła. Detaille n. p. pyszny jest w swoich „Ofiarach obowiązku“ Nigdy może tyle nie znalazłem życia w jego obrazach zbyt konwencyonalnie pojętych. Szczery tam jest zapał i niemniej szczery patryotyzm w ruchach tych panów zdejmujących kapelusze przed ranionym, a może zabitym strażakiem, którego koledzy wynoszą z płonącego domu. Równie szczery patryotyzm przebija w „Obronie Chorągwi“ p. Groleron i w „Tyralierach Senegalskich“ p. Pérret. Pérret, to znakomity kolorysta. — Nawet stary „pére Bougereau“ odmłodniał w przedziwnie jak zwykle, narysowanej nimfie, na którą rzucił taki efekt słoneczny, że trudno uwierzyć, aby wyszła z pod nadto starannie laserującego pendzla. Stary klasyk za przykładem młodych postępowców wyłamał się tym razem częściowo z formułek, któremi go nakarmili — Cabannel, Dawid i Ingres. Komu by jednak studium p. Bougereau było zbyt klasycznem, niech spojrzy na Gervaisa „Sąd Parysa,“ a nie znajdzie w nim ani atomu starych reguł. Stary temat, ale zupełnie oryginalnie pojęty. Parys, to już nie ten klasyczny pastuch przedstawiony raczej w postaci półbożka, ale prawdziwy pastuch owiec, zapatrzony w piękność Wenery, ztakiemi oczyma pełnemi zachwytu, z taką dziecięcą prostotą podający palmę zwycięztwa, że ta sama postać warta medalu, nie licząc, że i trzy boginie, wcale nie przypominają tych „wiodących spór zacięty.“

Kilka lat temu Jury odrzuciło świetnie malowany obraz p. Bérand, ze względów prostej moralności, ale czemuż, gdy odmówiło przed 3ma czy 4ma laty, przyjmuje dziś kompozycyą zupełnie tej samej treści?! Chcę mówić o „Prawie honoru“ p. Jean E. Harris. Znakomity jest wyraz mężczyzny, który w pierwszej chwili uniesienia zabił rywala, i pyszne oświetlenie lampy z jednej strony, a brzasku poranku z drugiej: — obraz bezwątpienia, będzie miał więcej rozgłosu dzięki skandalicznej treści niż mniej ni efekt i na zepsute gusta publiczności obliczone prace. Mało jest w ogólności tak jak w Champ de Mars obrazów malowanych dla jakiejś głębszej myśli a prawie wcale niema symbolistów, nad którymi trzeba sobie głowę łamać, by się domyślić, o co właściwie artyście chodziło.

Prawdziwy wdzięk i uczucie zachwyciło mnie w „Motylu“ p. T. Rose, chociaż i przed nim słyszałem z łania paryżanek „nadto podkreślone.“ — Przed płonącym kominkiem leży młoda kobieta z opalonemi motylemi skrzydłami. Et voilà tout — a takie wdzięczne i tak dużo mówiące, może nadto mówiące dla Paryżanek. Otwarte okno i ciemna noc, więc jak ćma do światła, przyleciało biedne stworzenie, by sobie skrzydła opalić. Pan Tanona, jak w przeszłym roku przedstawił nam na ławce sądowej młode dziewcze i młodego chłopaka, pochwyconych przez żandarma, tak w tym roku na tej samej ławce posadził trzy znakomite typy włóczęgów. Charakterystyka i wyrazy pyszne, — nie pierwszy raz zasiadają na tej ławce i pewnie nie ostatni. Przypomniał mi się nieodżałowany Gryglewski w dwóch wnętrzach kościołów p. H. Sauvage. Ta sama perspektywa i bajeczna znajomość architektoniki — tylko więcej w nich powietrza i słońca. Jeszcze kilka pysznych krajobrazów: p. Rigolot „Kaczki“ i morski krajobraz p. Olive, zieleń w lesie p. René Fable, „sroki“ w południowym peizażu p. Decanis i widok Paryża w nocy Luigi Loir. — Dobrych portretów doprawdy nie wiele. Niema tu nikogo, któryby G. Carolusowi Durand dorównał i wszyscy razem wzięci panowie i panie w pałacu przemysłu nie warci jego „Gracza na Mandolinie“. — Najlepszy ze wszystkich to jedynie portret malarza Gerôma przez jego ucznia Aimé Morot, ale też nie trudno było oddać tę typową a tak piękną głowę starego mistrza. Inny, z niebanalnych jakie widziałem, to portret p. Vilmy Parlaghi, przedstawiający hr. Szogenyi w narodowym węgierskim stroju. Pomimo, że przeszedłem wszystkie sale i pomimo sumiennych poszukiwań, znalazłem tylko jednego „Chrystusa na fali“ p. Synave. Bardzo ładny nocny efekt z wielkiem malowany poczuciem.

Pastele i rysunki także o wiele słabsze od pasteli na Polu Marsowem — jedna może panna Beaury Sorel stoi na wysokości p. Bernard, Rolla i Lhermitta — a zresztą gdy się widziało specyalną wystawę pastelistów na Rue de Séze, trudno znaleść coś więcej pociągającego i lepszego.

Schodzę nareszcie do rzeźb, których mnóstwo — aż nadto. Bardzo dużo oficyalnych posągów na zamówienia rządowe. Joden nawet znakomity Meissoniera, przez p. Fremiet, dekorować będzie wkrótce jeden z placów publicznych Paryża. — Z mniejszych kompozycyi „Inassouvie“ p. Dubois, stokroć mi się więcej podoba od dużo admirowanej Phryne p. Compagne. Popiersi także setki, że się w nich oko gubi zupełnie..

W końcu jeśli koniec, albo jakiekolwiek zakończenie potrzebne — doprawdy nie rozumiem, ani wyboru Jury tegorocznego, ani celu w ogólności tej „exibition“ en masse.

Dobre rzeczy giną przy nawale miernot. Na cóż więc Salon, z którego praw tylko starym wielkim mistrzom coś przyjdzie — a młodym może na setkę jednemu! W dodatku obiecują nam na rok przyszły trzeci salon — czy nie lepiej, żeby każdy artysta w własnym, a w braku tego w rządowym lokalu urządzał wystawę wszystkich prac i zapoznał tym sposobem publiczność z swemi zdolnościami. Tak! ale w takim razie, cóż by zrobiły modniarki paryzkie i toalety vernisażowe?

An. Ma.

NA WYŁOMIE.

(Sprawa p. Wittenburga. Nasza ostrożność i nasza uprzejmość.)

Gdy myśl wystawy przemysłowej w Poznaniu powstała i dalekich projektów mgły lotne krystalizować się poczęły, błysło od razu trwożne przeczucie, że znajdujemy się w przededniu starć narodowościowych. Na przestrzeni lat długich przekonaliśmy się niejednokrotnie, że Niemiec, chciwy zaboru i władzy, nie uważa się za współobywatela, lecz pana naszego, a nadto dumni, aby w kampanii wystawowej odegrać rolę ciurów obozowych i nadto patryotyzmem przejęci, aby z Chrystusową pokorą znosić narodowe policzki, oczekiwaliśmy z pewnym sceptyzmem rozwoju wypadków, gotowi nieobecnością odpowiedzieć na dyktatorskie zachcianki lub objawy szowinizmu obcego plemienia. Obawy nasze rozwiały się jednak, gdy z niemieckiej strony zagrały głosy przychylne solidarnemu współdziałaniu i wykluczające z wielkich igrzysk prowincyonalnego przemysłu wszelkie polityczne czynniki. Zdawało się istotnie, że nieznana pruskiemu sercu tolerancya wykwitła w promieniach majowego słońca na nieurodzajnej glebie, a skoro do komitetu wybrano kilku wybitniejszych przemysłowców polskich, nikt już nie wątpił, że ręka w rękę staniemy do pokojowej pracy nad dziełem wystawy. Nagle na pogodne niebo pierwsza wypłynęła chmura. W dziennikach miejscowych pojawiła się wiadomość, że p. Wittenburg, prezes komisyi kolonizacyjnej, tej żarłocznej córy Bismarckowskiej, która pochłania majątki polskie i, przeżuwszy je w drobne kawałki, trawi jako patentowane parcele niemieckie, figuruje na liście członków komitetu. Pierwszy „Goniec Wielkopolski“ zadzwonił z właściwym sobie rozmachem na alarm, a w ślad za nim podążył ciężki „Orędownik“, powtarzając o pół tonu niżej protest energicznego kolegi. Wielkie organa milczały. „Kuryerowi“ zdawało się zapewne, że znajduje się w przedpokoju cesarskim, gdzie dworski konwenans pieczętuje usta, lub żegluje po błękitnych falach starego Gopła, gdzie lutnista kujawski taką pieśń zanucił:

Cyt, Cyt, Cyt!
To nasz spryt!
Sza, sza, sza,
To mi gra!
Psyt, psyt, psyt!
Błyśnie świt!

A echo kujawskie powtórzyło:

Tak, tak, tak!
Polski szpak!

„Kuryerowi“ marzyło się jednak, że to nie echo kujawskie zbłąkanego syna do porządku woła, tylko jakiś „warchoł“ plecie ni w pięć ni w dziewięć o potakującym szpaku: i dalej słuchał w milczeniu sennej piosenki, nie protestując ani basem ani dyszkantem przeciw panu Wittenburgowi, piastunce córki Bismarckowskiej, członkowi komitetu wystawy. A „Dziennik Poznański“, organ narodowy, metr „szopek patryotycznych“, jak z przekąsem mówi lojalny „Orędownik“, — czemuż on, milczący jak sfinx egipski, nie odważył się Neptunowskiem „Quos ego“ zaprotestować przeciw ironii, ciśniętej w oczy Polakom? „Nun löse mir, Graf Oerindur, diesen Zwiespalt der Natur!“ Milczał dziadzia patryotyczny i dopiero po kilku dniach zamieścił notatkę, że prezes komisyi kolonizacyjnej, którego nazwisko bezprawnie na liście umie-

szczono, usunął się z komitetu wystawy! Brawo! Teraz możemy w zgodzie i harmonii wyruszyć pod hasłem kultury i cywilizacyi na pokojowe igrzyska. O nazwisko p. Wittenburga byłoby się niezawodnie harmonijne współdziałanie Polaków i Niemców rozbiło jak statek o skałę, bo dla zdeptanego ludu, który jeszcze ambicyi do reszty nie stracił, pozostanie mąż ten wcieleniem germanizacyjnego bezprawia. Nie wątpimy ani na chwilę, że p. Wittenburg jako człowiek jest czysty jak łza, ale my z prezesem komisyi kolonizacyjnej stanąć nie możemy ramię przy ramieniu. Fundusz stumilionowy to z krzywd bolesnych najboleśniejsza, a p. Wittenburg, jako naczelny kierownik kolonizacyjnego warsztatu, jest polityki krzywdzącej żywem wcieleniem — poznańskim egzekutorem Bismarckowskiego testamentu.

Na wiecu p o l s k o - k a t o l i c k i m wygłosi podobno p. Mycielski wykład „O potrzebie manifestowania uczuć katolickich“, — mnie się wydaje, że nie sprzeciwiałoby się charakterowi wieca dorzucić rozumne słowo o manifestowaniu uczuć narodowych. Zakrada się bowiem do społeczeństwa naszego anemiczna apatya i drząca jak listek osiny tchórzliwość. Pierwsza obojętna na sprawy publiczne, zimna aż do szpiku kości i senna jak Muzułmanin, odurzony haszyszem, snuje się jak cień bezkrwisty po polskich łanach i kniejach, głucha na urągania zaborców i łkania ludu rozbolałego, a czasem modnym sarkazmem mrożąca porywy i zapał entuzyastów. Ideały narodowe, poświęcenie, walka o język i ziemię, — to dziecinnych marzycieli zabawki. Krzywda ojczyzny nie wzruszy zblazowanego schyłkowca, — on nowych dreszczy dziś szuka.

Na szczęście jednak nie wiele jeszcze tych bladych upiorów w społeczeństwie polskiem, ale za to pleni się z przerażającą szybkością na glebie naszej zielsko tchórzliwości. Każdy okrzyk gorętszy strachem przejmuje skarłowaciałe kolumny narodu. Tam w czterech ścianach domowego ustronia, gdy drzwi za nimi szczelnie się zamknęły i tylko grono zaufanych przyjaciół około stołu zasiadło — tam z ust ich skargę usłyszysz i bolesne „Veto.“ Ale niech tylko zacisze swoje opuszczą, wnet uśmiech konwencyonalny lica ich okrasi i żadna potęga w świecie nie skłoni naszych „ostrożnych“ do żywszej manifestacyi protestu narodowego. „Nie drażnić!“ słychać w około szept cichy, i oto! wierni temu hasłu bierzemy udział w niemieckich „Vereinach“, wentach i bazarach, a „najostrożniejsi“ gotowi nawet prezesa komisyi kolonizacyjnej tolerować w komitecie wystawy i do wspólnego z nim zasiadać stołu. O! my jesteśmy uprzejmem społeczeństwem, a choć tam w tej uprzejmności utonie godność narodu, — pal licho wszystko! niech żyje grzeczność!

Wiem, że powoływanie się na czeskich pobratymców uchodzi za oklepane, ale ponieważ jeden z moich ulubionych autorów, Maksymilian Nordau, starał się w dłuższym essay udowodnić, że tylko prawdziwie dobre rzeczy oklepać się mogą, zatem niechaj mi wolno będzie przez szacunek dla dowcipnego autora „Paradoksów“ brzęknąć wam na zakończenie wytartą monetą czeską.

Przypominam sobie, że w towarzystwie jednego z wybitniejszych literatów czeskich zajrzałem do pewnej poznańskiej kawiarni. Zjawia się kelner i rzuca stereotypowe pytanie: Was belieben die Herren?„ Machinalnie odpowiedziałem berlińskim żargonem: „Nusspik Schwarz“; Czech spojrzał na mnie zdumioną źrenicą, rumieniec gniewu wystąpił na lica jego i zirytowanym głosem zawołał: „Nie rozumiem po niemiecku. Proszę mi przysłać polskiego kelnera.“ „Was meint der Herr?“ zapytuje kelner. Zawstydzony nie znalazłem odwagi udzielić mu w obcym języku żądanych informacyi, a Czech, teraz już drzący z oburzenia, krzyknął gromkim głosem: „Po polsku chcę mówić!“ Snać zrozumiał Niemiec nareszcie, o co chodziło pobratymcowi naszemu, bo wzdrygnął ramionami i oświadczył, że polskiej służby nie ma w kawiarni. W tej chwili zbliżył się gospodarz i zapytał o przyczynę sporu. Czech schwycił za kapelusz i bez słowa opuścił kawiarnię, - ja zatrzymałem się chwilę i w kilku słowach wyjaśniłem sprawę. Gospodarz zaambarasowany przepraszał mnie kilkakrotnie, a w trzy dni później już polski kelner nadskakiwał gościom.

Ta czeska bezwzględność, niezłomność, śmiałość a nawet brutalność w walce z niemieckim żywiołem oddała świetne usługi braciom naszym z nad Wełtawy. Gdzie niema czeskiej służby, tam w Pradze czeska nie postoi noga. Nikt przez fałszywie zrozumianą uprzejmość lub wygodę w niemieckim nie przemówi języku. Żadnych koncesyi, żadnej kurtuazyi! Bezwzględność podniesiono tam do poziomu narodowych obowiązków i dzisiaj nikt już nie powie, że Czechy nie są czeskiemi. Tak! ale Czesi to naród chłopów, a my kraina uprzejmych i wygodnych arystokratów....

Sila

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków 21 maja.

(Sp. Jan Tarnowski. Stowarzyszenie artystów polskich. Odwołanie ks. Stojałowskiego. Towarzystwo Ubezpieczeń. Z Rady miejskiej. Zmowa piekarzy.)

Zmarły przed 10-ciu dniami b. marszałek Galicyi hr. Jan Tarnowski był synem Jana Bogdana i Gabryeli z Małachowskich. Uczęszczał do szkoły technicznej w Krakowie, po której ukończeniu przygotowywał się do zdania gimnazyalnego egzaminu dojrzałości. Po zdaniu tego egzaminu zawiozła go matka do Paryża, gdzie zapisał się do C o l l é g e d e F r a n c e, biorąc prócz tego prywatnie lekcye ekonomji politycznej i ucząc się literatury pod kierunkiem Klaczki. Śmierć ojca (w r. 1850) wpłynęła ujemnie na zarząd majątku rodzinnego, a ponieważ z każdym rokiem powiększały się kłopoty matki, przeto 20 letni Tarnowski musiał przerwać nauki i oddać się gospodarstwu. Zapalony do jazdy konnej rozpoczął tworzenie wyborowej stadniny, która też później szeroko zasłynęła, nawet po za granicami kraju. W roku 1861 ożenił się z Zofią Zamojską, córką Zdzisława i Józefy z Walickich. W r. 1863 stracił w powstaniu pod Komorowem ukochanego brata Juljusza. Z działu rodzinnego przypadł mu na własność Dzików w Tarnobrzeskiem. W roku 1870 nabył majątek Końskie, siedzibę Małachowskich, głośną z pięknego pałacu i ogrodu; podniósł ją z zaniedbania i przywrócił do dawnej świetności.

Posłem na sejm był bez przerwy od r. 1878. Kiedy intrygi zmusiły Zyblikiewicza do ustąpienia z marszałkowstwa, wskazano cesarzowi Tarnowskiego na jego zastępcę. Opierał się temu, bo obawiał się czy sprosta zadaniom stanowiska. Przyjąwszy je pracował wytrwale i dobrą pamięć po sobie pozostawił. Nie miał tej energji i daru inicjatywy co Zyblikiewicz, ale przerastał go spokojem i nie gonił za sztucznemi efektami, bez czego Zyblikiewicz obejść się nie mógł. Laskę marszałkowską złożył w r. 1890. Położył wielkie zasługi jako długoletni prezes Towarzystwa rolniczego krakowskiego. Na trzy tygodnie przed śmiercią, dostał gwałtownego ataku sercowego, choć poprzednio nic tej choroby nie zapowiadało. Dnia 11-go maja zakończył życie w Dzikowie, na tym „kawałku ziemi“, o którym mówił na parę dni przed śmiercią, że go mądrze kochał, bo go podniósł bardzo, a roztropnie, cierpliwie, nie narażając go na ryzyko. Pogrzeb Tarnowskiego odbył się w Dzikowie i Tarnobrzegu w dniu 16-tym maja. Ciało jego złożono w kaplicy zamkowej znajdującej się obok cennej biblioteki, przez dziada jego Jana Feliksa, kasztelana, wielkiem staraniem i nakładem zebranej. Dziesiątki wieńców pokrywało trumnę. Eksportacji zwłok dokonał X. Solecki, biskup przemyski. Przed pałacem wypowiedział żałobną mowę ks. Eustachy Sanguszko, marszałek krajowy. Pochód ruszył do kościoła OO. Dominikanów w Tarnobrzegu. Sumę żałobną odprawił J. E. Kardynał Dunajewski — mowę żałobną w kościele wypowiedział ks. kan. Puszet. Po ukończeniu nabożeństwa i kondukcie żałobnym zniesiono trumnę do grobów rodzinnych pod kościołem, gdzie od końca XVII. w. spoczywają członkowie tej linji Tarnowskich (linja hetmańska dawno wygięła.)

Mam przed sobą statut „Powszechnego stowarzyszenia polskich artystów,“ o którem głucho dotychczas w naszych dziennikach, pomimo że stowarzyszenie zawiązało się, ma już swój wydział i rozpoczęło czynności. Celem stowarzyszenia ma być strzeżenie i reprezentowanie interesów moralnych i materjalnych sztuki polskiej. Głównemi środkami do urzeczywistnienia tego celu, ma być urządzanie czasowych wystaw dzieł szuki w kraju i zagranicą i oddziałów polskiej sztuki na wystawach międzynarodowych i wszechświatowych. Prócz tego ma urządzać stowarzyszenie zabawy i bale artystyczne. Członkiem jego rzeczywistym może być każdy artysta polski, czci nieposzlakowanej. Obowiązkiem członka rzecz. składać rocznie sumę przez walne zebranie oznaczoną i wystawiać swoje dzieła na wystawach stowarzyszenia, za to będzie miał prawo tegoż wystawiania, (niewiadomo więc, czy wystawianie dzieł jest prawem, czy obowiązkiem), dalej prawo głosu, wyboru i udziału w n a j ą t k u stowarzyszenia.

Członek honorowy ma te same prawa i obowiązki, co członek rzeczywisty, nie płaci tylko rocznej wkładki. Prawo jego wygasa: albo jeżeli nie chce być członkiem, albo (ktoby się tego spodziewał!) w razie śmierci (§ 16). Będą jeszcze i członkowie nadzwyczajni, których obowiązkiem: płacić wkładkę, a prawem zwiedzać wystawy i korzystać z ułatwień przy nabywaniu dzieł sztuki. Walne zebranie wybiera po dwóch rzeczoznawców dla malarstwa, rzeźby, architektury i rytownictwa. Rzeczoznawcy ci oceniają wartość artystyczną dzieł nadsyłanych na wystawę i przyjmują je, lub odrzucają, bez motywowania wyroku: przy wystawach międzynarodowych i wszechświatowych grono ich powiększać się będzie przez głosowanie wystawców. Koszta transportu dzieł członków pokrywa stowarzyszenie; połowę ich jednak odciąga dla siebie w razie jeżeli nadesłany przedmiot będzie sprzedany.

Od sumy sprzedażnej przypada od członków 6 proc., od niečłonków 10 proc. Statut przewiduje, iż kapitał żelazny stowarzyszenia wystarczy mu na zbudowanie gmachu własnego, a kiedy ten zostanie już wystawiony, wówczas procenty od kapitału żelaznego będą obracane na zapomogi dla członków chorych i niemogących pracować, lub też dla wdów i sierót po nich pozostałych. Jak widzimy cele stowarzyszenia są ładne, nadzieje jeszcze ładniejsze, tylko przepisy statutu niebardzo praktyczne. Największemi dostawcami kapitałów mogliby stać się członkowie nadzwyczajni, gdyż na stu najwyżej artystów, jacy do towarzystwa należeć będą, wiele pod względem finansowym liczyć nie można. Liczba członków nadzwyczajnych dojść by mogła do kilku tysięcy, gdyby mieli równe prawa lub większe, aniżeli mają w innych towarzystwach. Układający jednak statut wykluczyli ich tak bez wszystkiego, iż wątpić należy, czy będzie kogo zapisywać w rubryce członków nadzwyczajnych. Brak praw dla członków jest chorobą krakowskiego towarzystwa sztuk pięknych — artyści przecież o tem wiedzą, a chcą tę chorobę rozwinąć do m a x i m u m w swojem stowarzyszeniu. Taki statut byłby dobry, gdyby artyści złożyli odrazu pomiędzy sobą kilkadziesiąt tysięcy złr., ale gdzie niema grosza, a dopiero o niego starać się potrzeba, tam się daje najszersze przywileje tym, co go dostarczyć mogą. Życzę powodzenia stowarzyszeniu, ale wątpię, czy powodzenie zechce przyjść do ludzi niepraktycznych.

Praktycznym się stał natomiast głośny ze swych wydawnictw, agitacyi między

ludem i sporów z władzami cywilnemi i duchownemi ks. Stanisław Stojałowski. Jestto także poniekąd artysta, zdawało mu się zatem, że głową mur przebije; przekonał się, że nie podoła, a więc się cofnął, choć zbyt późno, z obranej drogi. Chciał zwalczyć władzę kościelną, ale ta go zwalczyła i zaprowadziła do Kanossy. W ostatnim Nr. Wieńca czytamy jego „Odwołanie i przeproszenie", z którego dowiadujemy się naprzód, iż w kongregacyi św. Inkwizycyi złożył „pisemnie i protokularnie, oraz pod przysięgą na Ewangelję" oświadczenie, że wierzył i wierzy w to wszystko czego Kościół naucza i do wierzenia podaje, a tem samem odwołuje i potępia to wszystko, co kiedykolwiek napisał lub wypowiedział niezgodnego lub przeciwnego wierze, obyczajom i karności kościelnej. Przez to oświadczenie „zrzuca z siebie wszelkie niesłuszne posądzenia i oskarżenia o złe i heretyckie zamiary, zdania i dążności." Kongregacya „dla naprawienia nieporozumień, zamieszania i zgorszenia," oraz dla udowodnienia szczerości prawdy słów jego, poleciła mu (a) odwołać publicznie to wszystko cokolwiek niezgodnego lub przeciwnego wierze napisał b) odprawić rekolekcye c) dla zapobieżenia dalszym nieporozumieniom poddawać aprobacie biskupiej — wszystko co będzie pisał w kwestyach z nauką wiary lub obyczajów związek mających. Dwa pierwsze punkty polecenia kongregacyi ks. Stojałowski już wykonał, a trzeci stale wykonywać obiecuje. Ciekawa rzecz, czy jest to z jego strony chwilowy rozejm, czy też stały zamiar otrzymania pokoju.

W ubiegłą sobotę odbyło się doroczne walne zgromadzenie członków Towarzystwa Wzajemnych ubezpieczeń.

Podczas obrad główne zajęcie wywołał tak zwany „wniosek pokucki" dążący do zapewnienia równego wpływu na walnych zebraniach wszystkim członkom rozrzuconym po kraju. Ponieważ każdy członek ma równe prawo brania udziału w zgromadzeniach, przeto z natury rzeczy decydowali zawsze sami członkowie krakowscy, bo tylko bliższa prowincya dostarczała małej liczby uczestników. Nie podoba się to, czemu się dziwić trudno, całej wschodniej Galicyi; wniosek pokucki zatem dążył do tego, aby na walnem zebraniu mieli głos jedynie delegaci wybierani przez okręgi. Słusznie podnosił hr. Stanisław Dzieduszycki, że garstka członków krakowskich nie powinna dyktować praw 8 tysiącom członków rozrzuconych po kraju. Ale zaściankowość krakowska postanowiła niedopuścić do wymierzenia słuszności; co prawda, kierowała nią obawa, aby w danym razie nie uchwalono przenieść dyrekcyi do Lwowa. Zwoływano więc na zgromadzenie członków krakowskich odezwami podnoszącemi „ich własny interes i interes miasta". Rada nadzorcza chcąc pogodzić sprzeczność proponowała, aby każdy członek zachował swoje prawa, ale żeby brali w ogólnych zgromadzeniach udział i delegaci (po dwóch z każdego okręgu), którym zwracałoby Towarzystwo poniesione na przyjazd koszta. Był to wniosek rozumny i racyonalny, a zabezpieczający członków krakowskich, boć zawsze byliby oni stosunkowo najliczniejsi na zgromadzeniach. Nie wiem co powodowało zgromadzeniem, iż z bezwzględnością odrzuciło wniosek rady nadzorczej, na który zgodzili się wnioskodawcy pokuccy. Ustępstwo ich powinno było wywołać również ustępstwo ze strony Krakowian. Pomimo rozumnych głosów hr. Męcińskiego, dyrektora Kieszkowskiego, hr. Antoniego Wodzickiego itd. zgromadzenie przyjęło wniosek hr. Andrzeja Potockiego o przejście do porządku dziennego. Przemówienie szermierza zaściankowości hr. Potockiego, spotkało się z ostrą odprawą hr. Dieduszyckiego, który mu zarzucił między innemi, że nie jest ożywiony tradycyą przeszłości! Słowa te wywołały hałas i głośne zaprzeczenia, prezes dzwonił i upominał mówcę. Przypomniały nam się czasy, kiedy to jaśni panowie mieli na obronę swoją szable i gardła drobnej a niewolniczo służącej szlachty. Czasy się zmieniły, szabli już niema, ale gardła szlachty zastąpiły gardła tak zwanej inteligencyi. Nie trzęsą już na Litwie Radziwiłły, ale w Krakowie ¾ inteligencyi zdejmuje jeszcze czapkę przed pałacem „pod Baranami".

W naszej radzie miejskiej zanosi się na burzę w sprawie tramwajowej. Jeżeliby potrzeba było dowodów na niedołęztwo tej Rady to jednego z najjaskrawszych dostarczyłaby ta sprawa. Miasto posiadające wraz z przedmieściami i Podgórzem blisko 100 tyś. mieszkańców, posiada od kilkunastu lat jedną jedyną tylko linię tramwajową, podczas kiedy po kilka linii posiadają miasta dwa, a nawet trzy razy od niego mniejsze. Obecnie po kilku latach nieustannych pertraktacyi z Towarzystwem tramwajowem, zgodziło się to ostatnie na zaprowadzenie drugiej linii, z warunkiem jednak, iż dozwolonem mu będzie położenie drugiego toru na linii już istniejącej. Kołtunerya krakowska, która nie pozwala przybijać do swych domów drutów telefonicznych, konsekwentna w swym kretynizmie, podniosła wrzask twierdząc, że dwa tory na jednej linii doprowadzą ją do nieszczęścia. Posypały się więc protesty właścicieli domów na paru ulicach twierdzące, że ulice te są za wąskie, i że będzie kłopot ze składaniem węgli kamiennych. Nad farsami, usiłującemi przeszkadzać wygodzie ogółu mieszkańców, nie powinna nawet Rada się namyślać, a jednak się namyśla i odkłada sprawę „dla jej bliższego zbadania". Powodem tego jest obawa przed kołtuneryą ze strony tych panów radzców, którzy drżą o swoją popularność i głosy przy wyborach. Gdzie tej obawy nie ma, tam Rada jednogłośnie nawet największe głupstwo uchwali. Kiedy n. p. zaczęto w Austryi agitować, ażeby zegary miejskie stosowały się nie do słońca, lecz do zegaru kolejowego, Rada krakowska pierwsza jednogłośnie uchwaliła cofnąć czas i zegary o 20 minut. Stało się to przed dwoma laty i choć nikt nie poszedł za jej przykładem do tej chwili, i tak już zacofany Kraków jeszcze o 20 minut jest cofnięty.

Mądrość niektórych członków naszej Rady w całej wspaniałości wystąpiła przy dyskusyi i głosowaniu nad wysłaniem na wystawę lwowską dwóch obrazów Matejki: „Hołdu" i „Racławic", z których pierwszy znajduje się w depozycie, a drugi jest własnością Muzeum Narodowego. Wystawa asekuruje je na wypadek ognia, a więc chyba nie ma się nad czem zastanawiać i wysłać obrazy, bo to jest obowiązkiem, bo wszakże osobny pawilon przeznaczony jest na dzieła Matejki. Ale niektórym radzcom wpadło do głowy zażądać od prezesa wystawy ks. Sapiechy i dyrektora jej p. Marchwickiego, aby złożyli 100 tyś. złr. jako gwarancyę za całość i „nieulotnienie się" obu obrazów. Gdyby każdy z wystawców zażądał podobnej gwarancyi, to prawdopodobnie nie wystarczyłby na to cały majątek tych panów. Zresztą, jak słusznie któryś z radzców zauważył, ani taka suma, ani żadna inna nie powróciłaby dzieł Matejki, bo któżby je mógł na nowo wykonać. A jednak większość komisyi muzealnej wystąpiła z tym idjotycznym wnioskiem. Szczęściem, że na 32 głosujących, tylko 12tu radzcom brakowało oleju w głowie.

Mamy tu zmowę (strejk) czeladników piekarskich. Rzeczywiście położenie tych ludzi jest jednem z najsmutniejszych. Pracują po 18 a nawet 20 godzin dziennie za płacę wynoszącą 5 do 6 złr. tygodniowo. Jeżeli weźmiemy na uwagę, że zboże dziś jest bardzo tanie, że robotnik tak ciężko pracuje, a tak nizko jest wynagradzany, nie będziemy się dziwili, iż niektórzy właściciele piekarń są w stanie swoim córkom wypłacać 100,000 złr. posagu. Zmowa jest częściową, co nie przeszkadza, że panowie piekarze dla „odbicia się" podwyższyli natychmiast ceny bułek i chleba. Niektórzy z nich jednak okazali usposobienie pojednawcze i zgodzili się na 12-to godzinną pracę, wypoczynek niedzielny i 8 złr. tygodniowej płacy.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LITERACKA.

— Nr. 9 „Słowa Polskiego" wyszedł i zawiera:
Z wiedeńskiego parlamentu. I. — Przegląd polityczny. — Sprawy polskie: I. Zawiązanie „Towarzystwa Demokratycznego Polskiego". II. Z zaboru pruskiego, nap. Orlica. III Z zaboru rosyjskiego nap. St. Bis. — Sprawa ruska: V. Walne zgromadzenie „Narodnej Rady". Nowa katedra ruska, nap. W. — Nauka: Spirytyzm I., nap. Władysław Kozłowski. — Powieść i poezya: Nieobecni, opowiadanie T. T. Jeża (ciąg dalszy). Nauki pana Kuczajewa (obrazek warszawski) nap. Anna Marzyńska. — Echa polskie. — Moskalofilizm w Czechach (dokończ.), nap. Czech. — Rozmaitości. — Bibliografia. — Od Administracyi. — Grafologia. — Ogłoszenia.

* * *

— Jan Odrowąż. Poezye. Kraków. 1893. str. 194.

Autor nie byłby się zdobył na odwagę ogłoszenia zbiorku swych poezyi, „gdyby nie słowa łaskawego uznania, wyrażone przez najznakomitszego dziś krytyka i estetyka w literaturze naszej, tak co do treści jak i formy utworów w nim zawartych." Tak przynajmniej oświadcza autor w krótkiej przedmowie. Przejrzawszy jednak zbiorek przekonamy się, iż, albo ów krytyk i estetyk nie jest „najznakomitszym", albo też jest człowiekiem miękkim, nie umiejącym mówić ludziom przykrości w oczy, a wyrządziłby ją bezprzecznie autorowi, gdyby mu prawdę o jego poezyach powiedział. Co do treści, ratuje ją poczciwość i zacność zapatrywań, bo nie ma w niej zresztą nic takiego, coby tysiąc razy nie było już lepiej wypowiedziane. Co do formy, niech piszącego te słowa wyręczy w jej ocenie sam autor. Oto w całości jeden z jego utworów;

„W lesie zmęczona na pniu siedziała,
Na główce biały szaliczek miała,
I taka śliczna, ach! śliczna była,
Że mi się potem całą noc śniła."

I już! A może czytelnik jeszcze pragnie zapoznać się z jakimś innym utworem p. Odrowąża? A więc podaję znowu w całości utwór p. t. „Nieprzyjemny sen":

„Marzyłem dzisiaj we śnie,
Ale jakże boleśnie!
Śniło mi się, ach śniło,
Że w niej serca nie było."

Co prawda, sen „nieprzyjemny", więc może pozwoli czytelnik coś przyjemniejszego z „myśli ulotnych". Oto ich parę do wyboru:

I. „Nie mów o miłości,
Gdzie nie ma zazdrości."

II. „Zawsze byłem tego zdania:
Niema życia bez kochania,
Ale prawda jest w tem zdaniu:
Ciężkie życie przy kochaniu."

Oddając suum cuique przyznać trzeba, że są lepsze ustępy w „Poezjach" od przytoczonych. Ale czy mogą być o wiele lepsze, łatwo osądzić, jeżeli się przytoczone przeczyta. Wyjątek stanowi wiersz „Dawna kronika." Nie ma w nim wprawdzie nic nadzwyczajnego, ale gdyby on jeden tylko stanowił cały zbiorek, możnaby jeszcze przypuszczać, że autor się „wyrobi". Całość jednak zbiorku, choć poczciwa, stanowczo przypuszczeniu temu zaprzecza.

Dziwna rzecz tylko, że z pochlebną oceną poezyj (!) Odrowąża nie odzywa się ów „najznakomitszy krytyk." Ktoby to mógł być: Chmielowski, Bogusławski i Małecki nie! — a więc kto? *K. B.*

* * *

— Dr. Władysław Szajnocha. Płody kopalne Galicyi, ich występowanie i zużytkowanie Część II. Lwów. Skład w księgarni Spółki wydawniczej w Krakowie 1894 str. 160.

W pierwszej części tego dzieła uczony geolog podał wiadomość o węglach kamiennych i brunatnych, rudach żelaznych, ołowianych, cynkowych i o siarce. Część druga, którą mamy przed sobą traktuje o solach potasowych, kopalniach i warzelniach soli i o wosku ziemnym. Rezultat badań dra Szajnochy przedstawia się w dość ciemnem świetle. Do właściwego zużytkowania soli potasowych brak dobrej woli u czynników rozstrzygających. Produkcya solna Galicyi od lat 25 wcale się nie podniosła, konsumcya jej stoi poniżej minimalnych potrzeb fizjologicznych ludności krajowej, ogromny dawniej eksport soli galicyjskiej za granicę ustał prawie zupełnie, a pomimo przyrostu ludności nie rośnie dochód państwowy z monopolu solnego. Cała galicyjska produkcya ozokorytu stale i szybko zmniejsza się i chyli ku upadkowi. Autor wskazuje środki lepszego zużytkowania tych płodów kopalnych Galicyi, Trzecia część dzieła poda opis znachodzenia się i zużytkowania w Galicyi oleju skalnego, fosforytów, torfów i materyałów budowlanych.

* * *

— Stanisław Schnür Pepłowski. Z przeszłości Galicji (1792 – 1862) Tom II Lwów 1894 str. 374.

Zaledwie o pierwszym tomie tej pracy umieściliśmy krótką notatę, mamy już przed sobą tom drugi, obejmujący dzieje Galicyi od r. 1830 — 1862. Musimy do niego w całości zastosować wszystkie zarzuty, uczynione tomowi pierwszemu i to w znacznie wyższym stopniu. Autor bardzo rzadko zagląda do źródeł; korzysta wprawdzie czasem z rękopisów biblioteki Ossolińskich, ale wogóle albo bardzo mało w nich znaleść można, albo też niedostatecznie je wyzyskuje. Jedyny więc prawie materyał dla autora stanowią druki. I ten materyał nie jest do pogardzenia, jeżeli go się zdoła opanować. Ale pan P. niezadaje sobie zbyt wiele trudu; przejrzawszy parę dzienników, kilka książek i kilkanaście broszur, poprzestaje na tem, nie troszcząc się o więcej. Naturalnie najłatwiej poszło mu z wypadkami 1846 — 1848 roku, bo dość sięgnąć po parę książek i kilka broszur, a wystarczy na sporą kompilacyą, tem więcej, iż autor zapuszcza się za daleko i mówi de omnibus rebus. Zapewne, że pisząc np. o wpływie emigracji na galicyjskie stosunki, trzeba było wspomnieć o jej działalności, lecz należało dać pokój szczegółom drugorzędnym. Autor nie umie wogóle rozróżniać rzeczy ważniejszych od obojętnych i wszystkie jednakowo traktuje. Przychodzą mu np. na myśl zasługi Felicji z Wasilewskich Boberskiej, — zasług tych nie daje obrazu, a natomiast podaje jej życiorys. Konsekwentnie więc postępując należałoby podać życiorys każdej osobistości wspomnianej w książce pana P. przez co zamieniłaby się ona w jakiś olbrzymi skład notat i szczegółów branych z drugiej ręki, a nie byłaby opowiadaniem historycznem, do czego ma pretensyę. Cała epoka od r. 1849 do 1862 jest zaledwie zaznaczoną, bo jeżeli odrzucimy z tego rozdziału rzeczy postronne, to na Galicję przypada zaledwie ze 20 kartek, z których dowiadujemy się najwięcej o aresztowaniach i procesach o dziennikarstwie i paru zamieszkach. A toż gdyby autor przedstawił choćby sprawy szkolne i sądownicze z tej epoki, jużby mógł dać wysoce charakterystyczny obraz czasów opisywanych. Do jakiego stopnia nie zna autor nawet materyału książkowego, najlepszym dowodem, że nie znaleźliśmy w pracy jego ani wzmianki o książce Kalinki: „Galicja i Kraków pod panowaniem austrjackiem“ (Paryż 1853) której doprawdy nie wolno nie znać nikomu piszącemu o przeszłości Galicji. Jeżeli pierwszy tom książki pana P. miał niejaką wartość jako opowiadanie kompilacyjne o czasach mniej znanych, to wydania tomu drugiego nawet tą względną wartością usprawiedliwić nie można.

* * *

— Prof. Dernburg. Phantasie im Recht. W broszurze tej podaje słynny autor Pandektów odczyt, jaki miał w Wiedniu na kongresie jurystów austryackich. Wczytując się w projekt ustaw dla rzeszy niemieckiej (Entwurf zum bürgerlichen Gesetzbuch) spostrzegł autor, że w wielu miejscach ustawy rozmijają się z poczuciem prawa zakorzenionem w społeczeństwie. Ponieważ, jak twierdzi, ustawy prawne wyłączne mają źródło w fantazyi ludowej, przeto takie pomijanie tego potężnego czynnika, musi osłabić w masach zaufanie do sprawiedliwości przepisów prawnych. Na wielu przykładach dowodzi autor powstania poczucia sprawiedliwości i kary z fantazyi ludowej.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego Tow. Przyjaciół Nauk odczytał p. radzca dr. Koehler notatki swoje, dotyczące Kaspra Miaskowskiego i rodziny jego. Ponieważ notatki te zawierają kilka nieznanych szczegółów i biografom Miaskowskiego przydać się mogą, zatem przytaczamy je poniżej in extenso:

1) W „acta advocatialia costenses“ od r. 1566 do 1569 (obecnie w archiwum poznańskiem) zapisano pod rokiem 1566, że ojciec Kaspra, Jan Miaskowski, miał dom w Kościanie, który okradziono. Dom był zamknięty, pewno wonczas nie zamieszkały.

2) W „acta consularia costenses“ ab 1637—1649 pod r. 1642 mowa o odebraniu kapitału 100 fl. pol. de bonis generosi Aleksandri Miaskowski (Nie podane owe „bona“).

3) Rymarkiewicz fałszywie nazywa wieś pod Krzywiniem Miązgowo. Wieś ta nazywała się wedle akt Miaskowo, a później nazywano ją Miąskowo. Niechybnie to wieś rodzinna Miaskowskich, od której nazwę wzięli.

4) W Gryżynie były trumny z zwłokami Zakrzewskich i Miaskowskich, ale się spaliły r. 1884. Obecnie nie ma żadnego nagrobka Miaskowskiego. W bibliotece Raczyńskich między rękopismami nr. 211, fol. 293, jest w odpisie Epitaphium Łukasza Miaskowskiego w odpisie, które było w Gryżynie.

5) Ugodę pod Ujściem z Szwedami z dnia 25 lipca 1655 r., podpisał także kasztelan krzywicki Maksymilian Miaskowski, zapewne herbu Bończa, nie Leliwa, którą się pieczętował Kasper Miaskowski.

Po odczytaniu notatek powyższych przedstawił przewodniczący wydziału, p. dr. Erzepki, rozprawę pana Kościńskiego p. t. „Arcybractwo Różańca św. w Nowem, pow. świeckim, w Pr. Zach.“

— W Paryżu otwarto obecnie pośmiertną wystawę dzieł słynnego rzeźbiarza J. R. Carpeaux. Do najznakomitszych dzieł francuzkiego mistrza należą: przepyszna fontanna w Luksemburgu, nymfy na frontonie pawilonu Flory i grupa korybantów w Operze paryskiej. Przypominamy także, że malarz Albert Maignan poświęcił zmarłemu rzeźbiarzowi wielkie płótno p. t. Le rêve de Carpeaux.

— Rosa Bonheur otrzymała w b. m. oznaki oficerskie legii honorowej. Jest pierwszą z kobiet, która osiągnęła tak wysokie odznaczenie, tak jak była w swoim czasie pierwszą z artystek, która zdobyła sobie ten order I-go stopnia. Wówczas dopuszczenie artystek do tego Napoleońskiego szlachectwa, pomimo licznych kandydatur natrafiało na stały opór Napoleona IIIgo i tylko dzięki patronatowi Cesarzowej Eugenii, wyróżniono Rosę Bonheur w 1865 roku.

— Paweł Bourget wróciwszy w tych dniach z Ameryki, gdzie bawił dla zebrania materyału do nowej powieści, kandyduje do Akademi francuzkiej na fotel zgasłego Maksyma du Campe. Słynny powieściopisarz ma wielkie widoki powodzenia, gdyż kilku ze współzawodniczących cofnęło swe kandydatury, Zola również popiera wybór Bourgeta, mając bowiem więcej przyjaciół pewnych w gronie nieśmiertelnych, sam łatwiej zwycięży w następnych wyborach.

— Islandczycy zbierają fundusz na utworzenie uniwersytetu w Reickiavik na Islandii.

— Theatre libre p. Antoine zamierza urządzić szereg gościnnych przedstawień w berlińskiem Residenztheater.

— W Paryżu odbędzie się niebawem licytacya autografów Napoleona I. Z autografów wynika, że wielki cesarz Francuzów podpisywał się zrazu „Buonoparte,“ następnie „Bonaparte,“ a w końcu „Napoleon.“ Od r. 1814 znajduje się pod listami Napoleońskiemi tylko litera N.

— Nowe pismo humorystyczne p. t. „Pomidor“ zaczęło wychodzić w Krakowie. Pierwszy numer ma nader wesoły ton wogóle i rysunki znanego artysty p. Kruszewskiego.

— We Lwowie zaczął wychodzić nowy tygodnik p. t. „Kronika literacka i społeczna“. Czasopismo to odznacza się dotychczas nader staranną redakcyą.

— Monachijskie stowarzyszenie artystyczne, „Münchener Genossenschaft“, w uznaniu talentu, nadesłało Oldze Boznańskiej zawiadomienie, iż prace jej nadal będą przyjmowane na wystawy w Kryształowym pałacu bez podlegania ocenie jury — czyli przyznało jej tytuł hors concours.

— Panna Ewelina Wróblewska, artystka teatru poznańskiego, ulubienica publiczności, udaje się dzisiaj do Krakowa, aby jako gość wystąpić na tamtejszej scenie. Po raz pierwszy ukaże się p. Wróblewska krakowskiej publiczności 21 b. m. w „Dorze“ a następnie w „Właścicielu kuźnic“ i „Nauczycielce.“

Dochodzą nas posłuchy, że bohaterka nasza do Poznania już nie powróci.

— P. Adam Dobrowolski napisał studyum literackie o Józefie Blizińskim. Jest to praca dokonana na podstawie rękopiśmiennych notat i papierów Blizińskiego. Początek tej ciekawej rozprawy ukazał się w majowym zeszycie Ateneum.

— W Paryżu z wielkiem powodzeniem wystąpiła, po swej wycieczce do Anglii panna Antonina Szumowska, pianistka, z koncertem w sali Erarda.

— Dyrekcya teatru hr. Skarbka we Lwowie zaangażowała na czas Wystawy p. Schlaffenberga (Pola) pierwszego tenora opery wrocławskiej. Znakomity śpiewak wystąpił poraz pierwszy w Aidzie i metalicznym, dźwięcznym, wyrównanym we wszystkich rejestrach głosem podbił sobie krytykę i publiczność.

— Tysiączne przedstawienie „Mignon'y“ odbyło się, w „Opera comique“ w Paryżu. Pierwszy raz wystawiono „Mignon“ w „Operze komicznej“ 17. listop. 1866, rolę tytułową śpiewała mdme Gajli-Marie. Do pieśni „Znasz-li ten kraj?“ skomponował Ambroży Thomas dwie melodje, które obie śpiewaczce się podobały, tak, że decydować musieli członkowie orkiestry. Powodzenie pierwszego przedstawienia było bardzo wątpliwe; przyczyna tego polegała po części na śpiewakach, po części na zakończeniu tekstu. W pierwotnej scenie końcowej, podczas jakiejś uroczystości chłopskiej umiera bowiem Mignon na widok zjawiającej się nagle Filiny. Jak Juliusz Barbier, który wraz z Michałem Carre napisał libretto, donosi do Figara, opera z takiem zakończeniem przedstawioną była tylko dwa lub trzy razy. Następnie praktyczni libreciści zmienili koniec „na uczciwe obywatelskie zamążpójście, stwarzając miejsce dla licznego potomstwa.“

Na wystawę krakowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych nadeszły: Borkowskiego „Epizod z r, 1863,“ Boznańskiej „Studyum starca“ i „Marzenia“ (pastele,) Doręgowskiego „Pięć krajobrazów.“ Drużbackiej „Studyum starca“ i Portret mężczyzny.“ Jasińskiego „Wiosna“ i „Urodzenie Wenery“ (akwaforty z Botticellego,) Piccarda „Pożegnanie,“ Propper Adeli „Studyum mężczyzny“ i „Studyum starca,“ Sasiaka „Wesele,“ Tondosa „Motyw z Wenecyi“ akw., Wywiórskiego „Po polowaniu“.

Zmarli:

Marya Zofia Schwartz, jedna z najpopularniejszych powieściopisarek szwedzkich, zmarła w Sztokholmie w 75 roku życia.

Filip hr. Berbelli Algarotti, pułkownik w Sieniawie, ożeniony z Zofią Kaczkowską, której matka była przyjaciółką Adama Mickiewicza.

A. Wels, autor sztuki p. t. „Henryk Heine“.

Dr. Józef Kenig, autor wielu prac z dziedziny prawa i ekonomii, między innemi: „De jure privato quod dicitur internationale“, „O wpływie chrześcianstwa na rozwój prawa familijnego“, „O Savignym“ itd.

Kornelia Henryeta Renan, wdowa po słynnym filozofie i historyku Erneście Renanie, zmarła w Paryżu.

Władysław Gościmski, artysta-malarz, zdolny pejzażysta, w 58 roku życia.

BIBLIOGRAFJA.

— Włodzimirz Wysocki. Satyry i bajki Kijów i Odessa 1894.

— Piotr Sales, Czarny dyament. Powieść (przekład) Warszawa 1894. Cena 2,00 Mrk,

Ruszkowki-Dreyfus. W Szczawnicy, komedyjka w jednym akcie. Lwów 1894 Cena 0,70 Marek.

— Franciszek Reinstein. Dyalogi i monologi wypowiadane przez Wł. Szymanowskiego i M. Frenkla. Warszawa 1894. Cena 0,40 Mrk.

— K. Kościuszkowska Biografia z Dokumentów wysnuta, poprzedzona rzutem oka na dzieje Muzeum Narodowego w Rapperswylu i katalogiem zbiorów Kościuszkowskich, w temże przechowywanych. Kraków. Nakładem Muzeum Narodowego w Rapperswylu 1894.

Za literą K. kryje się jeden z najwybitniejszych historyków polskich.

Odpowiedzi Redakcyi.

— Anonimowi w Berlinie. Nie możemy. W naszych warunkach jedynie homeopatyczne dawki zbawiennie oddziaływać mogą.

— Józefowi w. S. O ile nam wiadomo Ibsenowski dramat „Budowniczy Solness“ nie ukazał się dotychczas w polskim przekładzie.

— Pani P. w P. Druk nowel p. t. „Sensitiva Amorosa“ rozpoczniemy niebawem.

— K. E. Myśl piękna nie rozgrzesza słabej formy utworu. Poezye rzuciliśmy do kosza.

— Karolinie. Paweł Lindau mieszka w Dreźnie. O bliższy adres racz się Pani zapytać dyrekcyi berlińskiego Lessing-Theater.

— 222. Artykuł pod względem stylowym napisany poprawnie i z pewnem literackiem zacięciem. W krajobrazach jednak mało jest oryginalności, a szczegóły etnograficzne nie nowe. Postaramy się o umieszczenie nadesłanej pracy w innem czasopiśmie — w „Przeglądzie“ nie możemy.

Sprostowanie.

— W „Kronice berlińskiej“ zamieszczonej w Nr. 8 czytać należy zamiast „Mochnackich“ — „Morawskich“.

Od Administracyi.

— Ogłoszenia przyjmujemy tylko do każdej środy godz. 12-ej w południe.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.